

Beata
Ostrowicka

Zaczarowane podróże

Unia Europejska, przygoda i my



ilustracje
Katarzyna Kłodziej

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



Obiekt światowego dziedzictwa – obiekt wpisany na Listę światowego dziedzictwa UNESCO, na której są miejsca szczególnie cenne dla ludzkości. Warunkiem wpisu na tę listę jest spełnienie wysokich wymagań określonych przez ekspertów.



Pomnik historii – to szczególnie cenny zabytek dla polskiej kultury. Wyróżnienie przyznaje prezydent naszego kraju. Dotychczas otrzymało je ponad 100 obiektów znajdujących się na terenie całej Polski.

OTO Mapa
zaplanowanych podróży!





Zaczarowane podróże

Unia Europejska, przygoda i my



Wydawca:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Departament Funduszy i Spraw Europejskich

Autor:
Beata Ostrowicka

Ilustracje, opracowanie graficzne:
Katarzyna Kołodziej

Redakcja i korekta tekstu:
Justyna Mrowiec

Redakcja techniczna:
Anna Nieporęcka

Skład i łamanie:
AD FONTES Agencja Wydawnicza

DRUK:
Drukarnia Sindruk

ISBN: 978-83-62622-66-5

Egzemplarz bezpłatny
Copyright © by Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa
Narodowego, Warszawa 2020 r.
Kopiowanie, przedrukowywanie oraz rozpowszechnianie
całości lub fragmentów niniejszej publikacji bez zgody
wydawcy zabronione.

Zaczarowane podróże

Beata Ostrowicka
Unia Europejska, przygoda i my



Bezpłatna publikacja współfinansowana ze środków Funduszu Spójności oraz budżetu państwa w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014–2020

ROZDZIAŁ 1

Zaczynają się wakacje. Ale nie takie, jak sobie zaplanowaliśmy

Miasta i porządne drogi skończyły się dawno. Teraz gnamy zapyloną szosą. Wokół pola i lasy.

A ja mam przed oczami szmaragdową zatokę, kamienistą plażę, drewniany pomost. Ścieżkę, która prowadzi z białego domu nad brzeg morza. Znam każdy kamień. Każdy krzak i drzewo. Trudno, żeby nie, skoro co roku spędzamy tam trzy tygodnie. Tam, czyli w Chorwacji. Tak samo jak Mirna i Vedran, wnuczka i wnuczek naszych gospodarzy, państwa Dragojević. Mirna i Vedran na co dzień mieszkają w Splicie. Mirna jest w moim wieku, Vedran dwa lata starszy. Zaprzyjaźniliśmy się od razu. Kiedy pojechaliliśmy tam za pierwszym razem, Róża była malutka i pampersowa. A rok temu odwiedzili nas w Polsce.

– Ładnie – mówi mama, a tata ochoczo przytakuje. Róża i ja milczymy. Ja wyniośle, ona obrażona na maksa.

– Te żółte pola to rzepak – rzuca tata. My nadal nie odpowiadamy. – Dzieci, tak nie można – apeluje i odwraca się w naszą stronę. – Myślałem, że już wszystko sobie wyjaśniliśmy. Zerkam na Różę, nawet na moment nie zmieniła wyrazu



twarzą. W takiej chwili jak ta imponuje mi. Ma sześć lat, ale potrafi być twarda. – Nam też jest trudno – kończy.

Krzywię się. Ponieważ żadne z rodziców na to nie zwróciło uwagi, bo mama kieruje, a tata już przestał się do nas wyginać, pryham. Więc muszę wytrzeć brodę. Nie takiego efektu oczekiwałem.

– Już zaczęłam się pakować – odzywa się Róża. Ma usta w podkówkę, a jej jasne włosy sterczą na wszystkie strony. Nie da się ich ogarnąć, mama i tata zawsze mają trudno, gdy trzeba ją uczesać. – Miałam nurkować, pływać na materacu, zbierać szkiełka. Miałam zajadać się winogronami, tymi rosnącymi za domem. Pani babcia – tak nazywamy panią Dragojević – obiecała, że jej pomogę przy wytłaczaniu oliwy.

– Mieliśmy z Mirną i Vedranem zbudować statek piracki. – Wzruszam ramionami. – I popłynąć w dal. A tu rzepak – kończę szeptem.

Na niebie błyskają pierwsze gwiazdy, księżyc jest za chmurami, a my nadal w drodze. Była przerwa na obiadokolację w karczmie o wdzięcznej nazwie „Pod Niezabudką”, były dwa postoje na siku. Potem tata usiadł za kierownicą i nie skręcił, kiedy GPS mu to polecił, bo się zagadał. W efekcie do celu jest jeszcze trzydzieści kilometrów i wszyscy mają już wszystkiego dość.

– Spokojnie, spokojnie – mówi mama, ale głosu na pewno nie ma spokojnego. – Zadzwoń do Lusi.

– Po co? – pytamy chórem w trójkę.

– Bo tak – odpowiada mama i wybiera numer. – Lusi, dobry wieczór. Nie, nie jedziemy... Zgubiliśmy się. No nie wiem. – Mama rozgląda się dookoła. – Stoimy w jakimś szczerym polu, GPS zgłupiał. Chyba wrócimy do głównej drogi... Znak charakterystyczny? Może i coś tu takiego jest, ale wszędzie ciemno. O, właśnie księżyc wyszedł zza chmur.

– Zobacz. – Róża szarpie mamę za rękaw. – Tam, tam jest. – Macha ręką przed siebie.

Wyteżamy wzrok. Rzeczywiście coś na kształt domu, ale takiego mocno rozsypującego się. Dach się zapadł, jednej ściany nie ma, szyby powybijane. Po płocie zostało wspomnienie.

– Lusi, tu jest jakieś domostwo. Wygląda na niezamieszkałe. Co? Naprawdę? Dobrze. – Mama się rozłącza.

– Obraziła się? – wyrywa mi się.

Niezabudka

– inaczej
niezapominajka.
Mały niebieski
kwiat.

– Nic z tych rzeczy – mama się śmieje. – Jedzie do nas. Powiedziała, że jesteśmy niedaleko od niej. Będzie tu za chwilę.

Macham na Różę i odchodzimy kilka kroków, tak żeby mieć pewność, że rodzice nas nie usłyszą.

– Różanka, to jakaś straszna kicha będzie – szepczę. – Cała ta ciocia, te wakacje.

– Ja to wiem. – Pociąga nosem. – Boję się cioci.

Teraz jako starszy brat powinienem ją uspokoić, ale nie potrafię. Sam się boję. Mama i Lusia są jakimiś dalekimi kuzynkami, tak kiedyś mówiła babcia. Ciocię widziałem tylko raz czy dwa. Byłem wtedy mały i w pamięci zostały mi jej dziwne oczy i siwe nastroszone włosy, teraz bym powiedział, że w typie Róży.

– Czemu rodzice ją wybrali? – szepcze Róża.

– Nie słyszałaś miliona rozmów przez telefon? – odzywam się z goryczą. – Wszyscy zajęci, wszyscy mają plany. Cała rodzina, wszyscy krewni i znajomi królika. Tylko Lusia zgodziła się zaopiekować nami. Choć z tego, co słyszałem – tu już

pochyliam się i zaczynam szeptać – wynika, że nie od razu. Mówiła, że ma swoje plany, że jej nasz przyjazd nie pasuje.

– Ciotka Janka kiedyś mówiła, że ciocia Lusia to dziwaczka, jakich mało – Róża pociąga nosem.

– Cioci Janki nie słuchaj – mówię stanowczo. – Ona o nikiem dobrego słowa nigdy nie powiedziała.

– Szczepiek, może poprosimy rodziców i pozwolą nam wrócić ze sobą do domu? A może... O tak – podskakuje z przejęcia – wsadzą nas do pociągu i pojedziemy do Mirny i Vedrana? Damy radę, ja zaopiekuję się tobą, a ty mną.

– No, to jest myśl – mruczę.

– Tylko muszą nas wsadzić do dobrego pociągu – zauważa rzeczowo.

Zanim zdążę odpowiedzieć, rozlega się warkot, świeci reflektor i koło nas zatrzymuje się motor. No tak, jeszcze dostaniemy burę, że jeździmy po czyimś polu.



– Witajcie! – Motocyklista zdejmuje kask i poprawia pokaźny plecak. Szopa srebrzystych włosów, długie kolczyki, miła twarz. Od stóp do głów ubrany jest na zielono. Wygląda jak wielki konik polny.

– Kochana, jak nas znalazłaś? – śmieje się mama i podbiega do ciotki. Tata też podchodzi się przywitać, tylko Róża i ja stoimy jak jakieś drewniane figurki.

– Ja tu u siebie jestem. – Ciocia śmieje się, ponownie poprawia plecak i po chwili wyskakuje z niego wielki kot. – Tylko nie wędruj za daleko. Wracaj zaraz – zwraca się do zwierzaka, który przytakuje krótkim miauknięciem. – Pewno jesteście zmęczeni, niedługo będziemy w domu. Ej, dzieciaki, co z wami? Położę was spać w szpinakowym pokoju. Aha, mam koktajl z jarmużu.

Wymieniamy z Różą ukradkowe spojrzenie. Dziwaczka to za słabe określenie.



ROZDZIAŁ 2

Pojawia się Tyla i Gadatka

Rodzice pojechali jakieś dwie godziny temu. Zjedli śniadanie, wypili kawę, setny raz podziękowali ciotce, że ich uratowała, setny raz nam przypomnieli, że mamy na siebie uważać i że nas kochają. I przy okazji wyściskaliśmy się i wycałowaliśmy za wszystkie czasy.

Różanka i ja kiśniemy na ławce przed domem. Obok drewniany stół. Na nim dzbanek z kompotem, ciasto z owocami i miska czereśni. Przed nami pola, łąki. I oczywiście rzepek. Nad nami niebieskie niebo i puchate chmury. Aż mnie mdli od tej pięknoty.

– Może uciekniemy? – proponuje Róża i wyskubuje resztkę kruszonki z ciasta. Żałuję, że nie wpadłem na ten pomysł. – Tam przez pola, a potem to już sobie jakoś poradzimy.

– Słyszałam. – Obok nas pojawia się bezszelestnie ciocia. Dziś w wersji czerwonej. Łącznie z kolczykami, które podzwaniają przy każdym jej ruchu. – Rozumiem was, ale musicie zostać. Waszym rodzicom dużo spraw się teraz zważyło na głowę, prawda?

– No, remont domu. Taki generalny. Miał być po wakacjach, ale firma tylko teraz ma czas – mówię poważnym głosem. – Coś u mamy w pracy...

– A państwo Dragojević, rodzina, do której zawsze wyjeżdżamy na wakacje, w tym roku sama jedzie na wakacje – wybuchła Róża. – Lecą gdzieś do Francji, do córki pani babci. Wracają dopiero na początku września. Wtedy zapraszają. Ale wtedy – moja siostra rozkłada dramatycznie ręce – wtedy rusza szkoła, przedszkole, praca.

– Musi być wam przykro – mruży ciocia.

– Nooo – przytakujemy z Różą ponuro.

Zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć coś w stylu: „tutaj nam będzie lepiej niż na wymarzonych wakacjach w Chorwacji”, ale dochożę do wniosku, że ciotce nie są potrzebne takie puste zapewnienia.

– Damy radę – wzdycha ciocia, ale sprawia wrażenie, jakby sama w to nie wierzyła.

– O co chodzi? – pytam ostrożnie.

– Mam swoje sprawy, terminowe, i nie mogę ich przełożyć, odłożyć. Będziecie musieli mi towarzyszyć i tak sobie myślę, że...

– Ciociu, a ten kot? Wrócił do domu? – pyta naraz Róża.

– Wrócił, a jakże. Zjadł, a teraz śpi.

– O, mogę go pogłaskać? A gdzie śpi? – Róża podskakuje z przejęcia, włosy fruują.

– Po drugiej stronie domu jest weranda. Tam szukaj Panakota.



– Tak się nazywa? – Otwieram szeroko oczy.

– No tak.

Coś zaczyna popiskiwać. Ni żaba, ni kaczką. Na pewno trudno nie usłyszeć. Ciocia z kieszeni sukienki wyławia telefon. Ma etui w liście i papugi. Fajny jest.

– Halo? Dobrze, dobrze, ja zdania nie zmieniałam. Okej. O której? Za godzinę? Czekam. – Cmoka do telefonu, rozłącza się i wzdycha.

– Coś się stało? – pyta nieśmiało Róża.

– I tak, i nie. Dla was lepiej. Będziecie nudzić się w większym gronie. Za niecałą godzinę przyjedzie tu Tylka.

– Jaka znowu Tylka? – pytamy chórem.

– Wasza kuzynka. Matylda, Tylka, Tyla. Z Gdańska. Starsza od was. Ta od ciotki Kasi i wujka Piotrka.

– Aaa. Już wiem – przypominam sobie ostatnie urodziny prababci i ponurą dziewczynę. – Czemu tu przyjeżdża?

– Bo jej rodzice też są w sytuacji podbramkowej. Jakies kłopoty w pracy. A ja mam napisane na drzwiach: „zapraszam w dzień i nocy”. Oraz: „nie mam wcale swoich spraw” – ciocia wyraźnie traci cierpliwość. Wypija szklanekę kompotu i rusza przed siebie do ogrodu.

– Aha – mruczę.

– Idę do Panakota – rzuca Róża w biegu i po chwili zostaję sam.

– A wszędzie rzepak... – Kręcę głową z niedowierzaniem i sięgam po resztki resztek kruszonki.

Nie za długo jestem sam. Pędem wraca Róża. Włosy jej fruują, gestykuje:

– Pankot nie chce głaskania, chce spać. Mówi, że musi odpocząć, bo przed nim ciężkie dni, a już taki młody nie jest. Nie wiesz, o co może mu chodzić?

Tego wszystkiego jest dla mnie za dużo. Robię parę kroków do przodu i kładę się w pachnącej trawie.

– Szczepiek, nie wolisz na hamaku? – Obok mnie stoi ciocia. – Wisi w ogrodzie, łatwo znajdziesz.

– Wolę – odpowiadam i człapię do ogrodu. Włazę do pasiastego hamaka, uklepuję poduszkę. Wszędzie brzęczenie owadów i słodki zapach. Nawet nie wiem kiedy powieki mi opadają i zasypiam.

Budzi mnie energiczne szarpanie za stopę. Otwieram oczy. Rozzochrana Róża, rozzochrana ciocia Luska i wysoka, rozzochrana ciemnowłosa dziewczyna. Więcej niż włosów ma kolorowych mulinowych bransoletek na jednej i drugiej ręce.

– Elo, kuzyn – zagaja, patrząc na mnie badawczo. – Wyłaż z wyra, musimy konstruktywnie porozmawiać.





Kuchnia ciotki połączona jest z obszerną biblioteką i salonem. Pod sufitem wiszą pęki ziół, między szafkami drzemie kanapa z powykęcanyymi nogami. Jest też wielki stół, ciężkie krzesła. Biblioteczki, których półki puchną od nadmiaru książek. Na ścianach półki z milionem różnokolorowych i różnokształtnych kubeczków i filiżanek. Wszystko to robi niesamowite wrażenie.

Zajmujemy krzesła, na kanapie drzemie jego kocia wysokość. Pierwszy raz mam okazję dokładnie mu się przyjrzeć. Jest pięknie pręgowany, dostojny. Nie mam odwagi go dotknąć, w przeciwieństwie do Róży, która a to pogłaszcze, to muśnie ogon, to cmoknie między uszami.

Ciocia stawia na stole miskę z czereśniami, na które rzucamy się, jakbyśmy przed chwilą nie zjedli już stu kilogramów wiśni i truskawek.

– Jakie plany? – Tyla wypluwa pestkę do miseczki, stojącej po drugiej stronie stołu. A to dobre parę metrów. Za imponowała mi, nie powiem. – Ciotko, jutro ruszamy? – Tak zwraca się do niej: „ciotko”. Ale mówi to w miły sposób.

– Jutro się chyba nie da. – Ciocia się wychyla i stawia miseczkę obok Matyldy.

– Bo?

– Bo najpierw musicie przyswoić potrzebną wiedzę.

– Przepraszam, co tu się wyprawia? – pyta Róża. Zeskakuje z sofy, kot miauczy. Ona bierze się pod boki i marszczy groźnie brwi. – Ciociu? Czas na poważną rozmowę.

– Proszę bardzo – ciocia uśmiecha się szeroko. – Proponuję taki układ. Ja opowiadam, wy się dziwicie, ale dajecie mi dokończyć. Potem będą pytania. Może tak być?

– Tak – mówimy jednocześnie.

– Mhm. Pewne rzeczy, które zaraz usłyszycie, nie będą dla was nowością, ale musimy sobie wszystko uporządkować. Od czego zacząć... – ciocia się zamyśla, a Pankot miauczy. – O, rzeczywiście, masz rację. Już wiem. Różanko, słyszałaś o Unii Europejskiej?

– Coś tam słyszałam. – Róża kiwa głową. – Mówili nam w przedszkolu. Ale już nie bardzo pamiętam.

– Unia Europejska to 27 państw, które postanowiły ze sobą współpracować, aby ich mieszkanki i mieszkańcy mogli żyć w dobrobycie, a co najważniejsze, bezpiecznie, bez wojen i strachu. Unia to wielka wspólna rodzina, w której szanowane



są odmienne kultury, tradycje i języki. Pomimo różnorodności wiele nas łączy.

– A nam mówili w szkole, że wszystkie państwa, które są członkami Unii, mają takie same prawa i obowiązki – wtrąca Tyla.

– I dobrze wam mówili – kiwa głową ciocia.

– A jakie to te prawa? – pyta Róża. Znowu siedzi na kanapie i głaszcze kota.

– Na przykład takie, że w obrębie Unii granice państw wydają się nie istnieć – odpowiada ciocia. – Czyli możesz jechać do swojej Chorwacji bez paszportu. A gdybyś kiedyś chciała mieszkać, uczyć się czy pracować w innym kraju, to nie ma z tym żadnego problemu.

– Natalia, córka naszych znajomych sąsiadów, studiuje za granicą. W Holandii – wtrąca Tyla. – I chyba tam zostanie. Poznała chłopaka...

– Holendra? – pytam.

– Nie, Abelardo jest z Portugalii. – Tyla kręci głową. – Co tam, ciotko, jeszcze nam powiesz?

– Prawa i obowiązki są ze sobą nierozdzielnie związane – mówi ciocia.

– Jakbym mamę słyszał – prychnam.

– No, coś w tym jest. Moja też podobnie uważa – mru-
czy Tyla. – Dobrze, ciotko, mów, mów. Już nie przerywamy.

– Wybiliście mnie z toku – wzdycha ciocia. – Aha, już
pamiętam. Wszystkie państwa w Unii Europejskiej muszą
przestrzegać wspólnie ustalonych zasad, na przykład dbać
o naszą planetę i jej środowisko.

– Czyli co? Czyli chodzi o walkę ze zmianami klimatu?
– pytam.

– Tak, ale nie tylko. O to, jak mądrze korzystać z zasobów
naturalnych, takich jak woda, atmosfera, węgiel, ropa,
gaz ziemny, drewno – wylicza ciocia. – Jak rozwiązać problem
odpadów, jak nauczyć ludzi myślenia ekologicznego...

– Nam to w przedszkolu mówili – teraz przerywa Róża
– żeby oszczędzać wodę, prąd. Segregować śmieci. Nie używać
reklamówek. I dlatego nasza mama uszyła woreczki z fi-
ranki – kończy z dumą.

– Pijemy kranówkę, żeby nie kupować ciągle wody
w plastikowych butelkach – wpadam jej w słowo.

– Ja też. – Tyla wzrusza ramionami. – A do szkoły noszę
taką specjalną butelkę. Wielokrotnego użytku – chichocze.
– O, ciotko nasza, znowu ci przerwaliśmy. – Robi skruszoną
minę, ciocia przytakuje milcząco, ale widać, że nie ma nam
tego za złe.

– Mogę już mówić? – pyta ciocia.

– Tak.

– Wszystkie państwa należące do Unii Europejskiej
wpłacają pieniądze do wspólnego budżetu, czyli takiego konta

w banku – dodaje ciocia szybko, bo widać, że Róża szykuje się
do zadania pytania. – Te pieniądze Unia przekazuje tym swoim
członkom, którzy mają problemy.

– Tak? A po co? – Róża wzięła się pod boki.

– Po to, Różanko ty nasza kochana, by mogli je szybciej
rozwiązać. Z tych środków, nazywanych funduszami euro-
pejskimi, korzysta również Polska. Aby móc ich użyć, należy
napisać **projekt**.

– I do czego są wykorzystywane? – pytam.

– Na przykład na budowę autostrad, remont starych
linii kolejowych, na nowy sprzęt do ratowania
chorych ludzi w szpitalach czy pomoc rolnikom,
których plony zniszczyła susza. Z tych fundu-
szy korzystają też instytucje kultury np. muzea,
szkoły artystyczne, teatry albo filharmonie.

– Czyli filharmonia może kupić trąbki? –
pyta z powagą Róża.

– Może – odpowiada ciocia.

– A bębny?

– Też – potakuje ciocia i widzę, że z tru-
dem zachowuje powagę. – W miejscach, które
otrzymały wsparcie pieniężne Unii Europej-
skiej, pojawia się flaga unijna.

– Taka ślicznusia flaga? Gwiazdy na gra-
natowym tle? – Podrywa się Róża. – Rysowali-
śmy ją w przedszkolu. Mogę teraz też naryso-
wać? Są tu gdzieś kredki? Farbki?

Projekt unijny

– jeśli chcemy
skorzystać
z funduszy
europejskich,
musimy
napisać projekt,
czyli opisać
to, co chcemy
zrobić w naszej
instytucji.
Na przykład
projekt
napisany
przez teatr
może dotyczyć
wybudowania
nowej sceny
lub zakupienia
strojów
scenicznych.



– Poszukaj w moim pokoju, w szufladzie biurka – mówi ciocia, a Róża już wypada z kuchni.

– Ciociu, a co masz wspólnego z tym wszystkim? – dociekam.

– Oglądam projekty. Taka wizytacja. Chwilami czuję się, jakbym jakąś urzędniczką była – śmieje się. – Potem pakuję te moje zapiski do walizki i ona znika. Pojawia się przy kolejnej podróży...

– Na kilometr pachnie mi tu tajemnicą i magią – mruczy Tyla. – I ta walizka i to ciotkowe podróżowanie.

– Jaka znowu walizka? – mam ochotę złapać się za głowę.

– Ta sama, która zawsze do mnie dociera na początku kolejnej wędrówki – wyjaśnia ciocia. – Właśnie, nie odebrałam jeszcze przesyłki. – Klepie się w czoło.

– Poczta? O tej porze? – pytam uprzejmie. – Gdzieś w pobliżu?

– Mam taką nadzieję. Idziecie?

– Dokąd?

– To jest nasz pan kierownik. On prowadzi. – Ciocia wskazuje na Panakota, który miękko zeskakuje z sofy i rusza w stronę drzwi wyjściowych. – Różanko, chodź do nas.

Idziemy za nim. Gęsiego. Zatrzymujemy się za ogrodem. Dziwny jest świat o tej porze. Oświetlony blaskiem księżyca. Widzę jakieś pole lub łąkę. A pośrodku wielką wierzbę. Pankot kieruje się w jej stronę. Ciocia staje przed drzewem i kłania się w pas. Pankot zaczyna tak miauczeć, aż uszy bolą.

Zrywa się porywisty wiatr. Po chwili, tak samo szybko, jak zaczęło wiać, przestaje. A przed nami leży srebrna walizka. Najzwyklejsza. Z tych na kółeczkach, z wysuwaną rączką.

– Nasza przesyłka – mówi ciocia radosnym głosem.

Walizka otwiera się i wyfruwa z niej coś, co wygląda jak większe pudełko zapalek albo mniejsze po butach. Kolorowe, mieniające się, z przewagą czerwieni i granatu.

– Gadałka! – wykrzykuje ciocia.

– Też się cieszę! Też się cieszę! – skrzeczy pudełko i naraż sypie na nas drobnymi iskrami.

– Jakie to ładne – zachwyca się Róża, a Tyla potakuje.

– Ładne, ładne, ale zaraz zobaczycie, jakie gadatliwe – mówi ciocia na pozór oschłym głosem, jednocześnie miękким ruchem gładzi Gadałkę, która zawisła na wysokości jej głowy.

– Pani Lusiu, zauważyła pani, że to nie mój głos? – skrzeczy pudełko i znowu fruwa nad naszymi głowami. – Podoba się? Umiem jeszcze udawać robota. Chcecie posłuchać?



– Raczej nie – odpowiada ciocia. – Może później.
– O czym opowiedzieć? – pyta pudełko. Teraz miło brzmi. – Kogo tu mamy? Pankot? Chłopie, jak ty urosłeś.

A to kto?

– Róża – mówi Róża.

– Tyla – mówi Tyla.

– Szczepek – mówię.

– Pięknie, pięknie – cmoka Gadałka. – Co wam opowiedzieć?

– Może na razie nic? – proponuje ciocia.

Gadałka zatrzymuje się w powietrzu. Na kilometr czuć, że jest śmiertelnie obrażona.

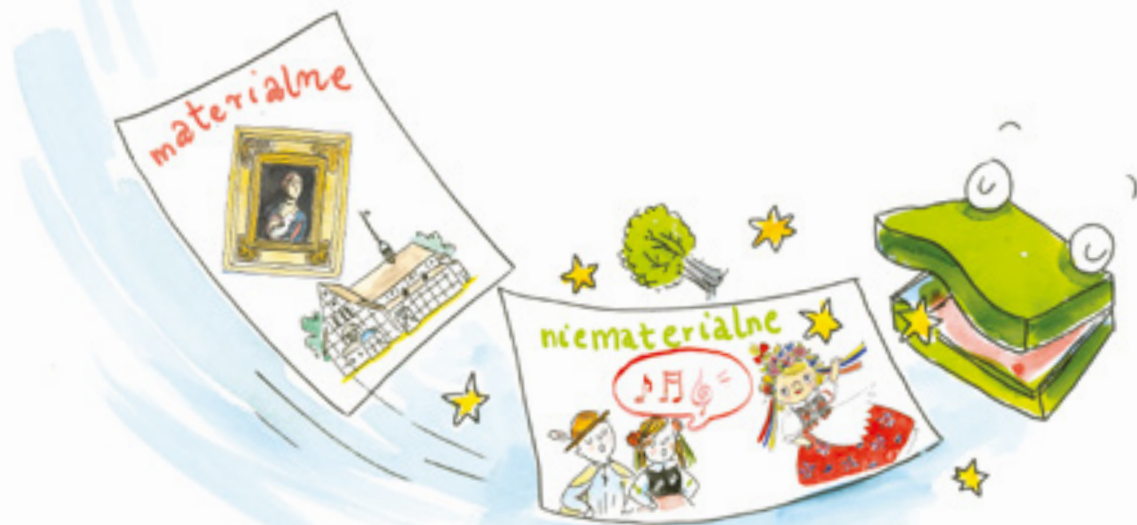
– Pani Lusi, pani ma swoją robotę do wykonania, ja swoją – fuka.

– Dobrze, dobrze. – Ciocia macha rękami. Kolczyki dzwonią. – Jeśli możesz, opowiedz o dziedzictwie kulturowym. Tak w skrócie. Będzie nam to cały czas się przewijało.

– Uwaga! Uwaga. Będzie się mówić! – woła Gadałka i robi w powietrzu przewrót. – Dziedzictwo kulturowe jest wspólną przeszłością, która łączy naród. To coś, co go tworzy. Coś bardzo cennego i ważnego. To dorobek materialny i niematerialny przeszłych pokoleń. Musimy o nie dbać, musimy je chronić, żeby nie stracić tego, co dostaliśmy od naszych przodków.

– Materialne to rozumiem – odzywam się po chwili.

– Zamek, dworek, kościół, stara księga, obraz – mówię z powagą. – A niematerialne?



– Tradycje, zwyczaje, baśnie, obrzędy świąteczne – wymienia szybko Gadałka.

– Legendy też? – pyta Tyla.

– Jak najbardziej – przytakuje Gadałka.

– Wiecie co? – Gadałka zawisa nad nami. – Dostaniecie ode mnie prezent – cieszy się. – Na początek naszej znajomości.

Świszczy, gwizdże i wypluwa z siebie kilka kartek, które lądują w naszych dłoniach. Zerkam. Jakiś wykres, drzewo, nutki. Strój ludowy. Chyba krakowski.

– Śliczne, dzięki – cieszy się Róża. – Gadałko, też ci coś w domu narysuję. Wracamy już?

Ciocia ulokowała Matyldę w naszym szpinakowym pokoju, czyli po prostu zielonym. Jak na razie ona się rozpakowuje,



ja czytam, a Róża głaszcze Panakota i o czymś intensywnie rozmyśla.

– Tyla, ty dobrze znasz ciocię? – szepcze naraz Róża.

Tyla zastyga z kłębkim kolorowych nitek w ręku. Potem wzrusza ramionami.

– Kiedyś tu przyjechałam, nawet fajnie było. Ciotka jest spoko, choć w rodzinie dużo się o niej mówi.

– A co na przykład?

Nasza kuzynka zamyśla się głęboko.

– W sumie, że dziwaczka – mruczy w końcu. – A Pan-kot jest czarodziejski – dodaje i nie wiem, czy teraz sobie ze mnie nie żartuje.

– Idę do niej – ogłasza Róża. Już stoi, obok niej kot.

– Muszę o coś spytać. – Wybiega.

Tyla robi jakieś czary-mary z kolorowymi sznurkami. Agrafką przypina do nogawki spodni końcówki zebrane w węzeł i zaczyna je wiązać. Dzieje się to tak szybko, że aż mi miga w oczach.

Nic tu po mnie. Zamykam książkę i wychodzę.

Ciocia i moja siostra siedzą w kuchnio-salonie.

– A może teraz narysuję ci rolki? – Róża zwraca się do cioci. – Co ty na to?

– Super.

– I jeszcze rower Szczepka. Tylko zawołam Tylkę, żeby nie siedziała tam sama. Tyla! Tyla! Chodź do nas! – niesie się po całym domu, a ja przypuszczam, że słyhać nas i w ogródku, i na pobliskiej łące.



ROZDZIAŁ 3

Pojawia się pierścionek i to nie byle jaki

– Nigdy nie wiem, dokąd pojedę i co zobaczę. I ja to lubię – mruczy pogodnie ciocia. Nie wiem, czy do siebie, do Panakota, Matyldy, Róży czy do mnie. Dziś wygląda jak słonecznik.

My, ludzie, siedzimy wokół kuchennego stołu i wcinaemy kanapki, jego kocia wysokość zajął sofę. Nad nami krąży Gadałka. Milcząco, jak na razie.

– To naprawdę mam wypakować pizamę? – pyta Róża z pełną buzią.

– Tak. Wracamy wieczorem do domu, do tego domu. Bez krzywienia się, proszę, takie są zasady. Nie chcę was za bardzo poganiać, ale za dwadzieścia minut chciałabym zamknąć drzwi wejściowe i ruszyć w drogę.

– Ciociu, jak w drogę? Twoim skuterem pojedziemy? – śmieje się Róża. – Nie zmieścimy się.

– Zobaczycie. – Ciocia mruga tajemniczo. – Kończcie śniadanie.

Każde z nas ma niewielki plecak. Pankot kręci się wokół Róży. Dokładnie wokół jej nóg, Gadałka oczywiście fruwa nad nami.

– To dokąd jedziemy? I czym? – pyta Tyla. Oczywiście ubrana na czarno, z kolorowymi bransoletkami. Mam wrażenie, że od rana kilka jej przybyło.

– Tym, moje robaczki. – Ciocia wysuwa do przodu lewą rękę. Na serdecznym palcu ma pierścionek z niebieskim kamieniem. Przez moment w tej niebieskości błyskają złote gwiazdy.

– Ładny – mówią jednocześnie Tyla i Róża.

– Magiczny, prawda? – pyta moja siostra takim tonem, jakby dowiadywała się o to, jaki dziś dzień tygodnia.

– Innych nie noszę – odpowiada ciocia i nie wiem, czy żartuje czy mówi prawdę. A potem z kieszeni kurtki wyjmuje poskładaną kartkę.

– Coś magicznego? Jakies zaklęcia? – próbuję się wkręcić.

– Nie, lista zakupów do apteki – odpowiada, a dziewczyny zaczynają chichotać. – Tu coś jeszcze mam. – I z drugiej kieszeni wydobywa kolejną kartkę.



Rozkłada ją. To mapa Polski. Na niej czarne kropki. Nagle jedna z nich zaczyna rozbłyskiwać.

– Co to? – pytam.

– To, co tak teraz pulsuje, to miejsce, do którego musimy się dostać. Proszę was, stajemy w kręgu. Szczepiek, bądź łaskaw i przytrzymaj Panakota. Nie bójcie się. – Ciocia przekręca pierścionek na palcu. Pachnie karmelem i otacza nas jasność. – Zamknijcie oczy.



– Już! Jesteśmy na miejscu – woła ciocia, a Pankot miauczy.

Otwieramy oczy. Stoimy na wystrzyżonym trawniku, pod wielkimi, rozłożystymi drzewami. Przed nami okazały jasny dwupiętrowy budynek z mnóstwem okien, w których odbijają się promienie słoneczne.

– Ciotko, ale magia, ale czad! – wykrzykuje z podziwem Tyla, a ja zupełnie nie mogę się zebrać. Podejrzewam, że wyglądam niezbyt mądrze z szeroko otwartymi ustami ze zdziwienia.

– To jakiś pałac królowny? – pyta Róża i kręci się jak bąk wokół własnej osi. – Zobaczymy ją? O, tam pod dachem są wymalowane liście kasztanowca... Taki szlaczek. Podobne robię w przedszkolu.

– Fajny ten magiczny pierścień, fajne to hycanie – mówi z uśmiechem Tyla.

– Dawno tu nie byłam – wzdycha ciocia z nostalgią. Pochyliła się nad kotem i głaszcze go między uszami. – Prawda? Mnie też się bardzo podoba.

– Mnie też się podoba – terkocze Gadałka.



– Ciociu, gdzie jeste-
śmy? – pytam. Szczerze
mówiąc, najbardziej inte-
resuje mnie sposób, w jaki
tu się dostaliśmy. Chętnie
bym o tym pogadał, ale
pewnie trzeba będzie po-
czekać na to do wieczora.

– To pałac Karolin
w Otrębusach. Kiedyś tu było
sanatorium, a od lat 40. XX
wieku mieści się tutaj siedziba
zespołu „Mazowsze”.

– Czyli? – Róża siedzi na
trawie, na kolanach ma Panakota
i co jakiś czas szepcze mu do ucha.

– Czyli naszego największe-
go i najbardziej znanego zespołu
ludowego – odpowiada ciocia.

– A... muza jakaś – mruczy
Tyla do mnie, a ja strzygę uchem.

– Ludowa. Coś o gęsiach i wo-
dzie. Powiedziałem coś zabawne-
go? – dziwię się, bo ciocia zerka na
mnie i wybucha śmiechem.

– Nie, nie. Tylko nie usły-
szycie tu innej muzyki. **Ludowe**

Tańce ludowe

– dawne, tradycyjne tańce, które wyróżniają się specjalnymi krokami i układami. Wykonuje się je do muzyki ludowej. Tancerze ubrani są w stroje ludowe. Wyróżniamy pięć polskich tańców narodowych: krakowiak, kujawiak, mazur, oberek i polonez.

Przyśpiewki

– to krótkie piosenki ludowe śpiewane np. na weselach czy zabawach.

tańce, piosenki, **przyśpiewki**. Z całego kraju – wyjaśnia ciocia. – A różne regiony, to różne stroje...

– Strój góralski! – wołam.

– Kurpiowski – odzywa się Tyla.

– Nadmorski – dodaje Róża, a my staramy się nie wybuchnąć śmiechem.

– Różanko, może chodziło ci o kaszubski? – pyta szybko ciocia.

Przed budynek wychodzi kilka osób. Siadają na schodach. Niektórzy piją wodę, inni dzwonią. Ewidentnie mają przerwę.

– No tak, zapomniałam – mruczy ciocia i przekręca pierścione. Znowu pachnie karmelem, znowu jest jasność. – Za bardzo rzucałyśmy się w oczy. Mamy parę spraw do załatwienia.

– Czyli będziemy niewidzialni? – wykrzykuje Tyla i ze zdumienia otwiera szeroko usta.

– I niesłyszalni. My nawzajem będziemy się widzieć i słyszeć – dodaje ciocia. – Ruszamy.

Już po chwili znajdujemy się w sali, której jedna ściana jest lustrzana. Od podłogi do sufitu. Tancerki i tancerze rozciągają się, rozmawiają. Kilka osób ćwiczy przy drążkach tanecznych.

– Dresy, legginsy, bluzy... Gdzie te piękne stroje? – pyta Tyla zawiedzionym głosem. – Korale? Skórzane buty? Gorse-ty? Warkocze do pasa?

– Teraz trwa próba taneczna. Trzeba poznać układ i bezbłędnie się go nauczyć – tłumaczy ciocia. – To ciężka praca. Potem będzie czas na stroje. – Zaczyna rozbrzmiewać muzyka i tancerki oraz tancerze ustawiają się w pary. – Mazurek! Aż mi nogi skaczą – rzuca, a po chwili tańczy na środku sali. Tyla patrzy na to z lekkim uśmiechem, a Róża zaczyna wirować wokół ciotki.

Tyla i ja mrugamy do siebie.

Pankot miauczy.

– Masz rację. W drogę! – Ciocia przerywa płąsy, poprawia włosy i wychodzimy na korytarz.

Idziemy za nią, ona za kotem. Ciocia uchyla jedne drzwi. Bajecznie kolorowe stroje na manekinach, na wieszakach. Na stole stoi mężczyzna, a kilka kobiet przypina szpilkami dół jego ciemnogrnatowego płaszcza. Obok dziewczyna w haftowanej bluzce i mężczyzna z metrem na szyi, który przyszywa jej coś przy rękawie.

– Co tak terkocze? – pyta Tyla i rozgląda się ciekawie.

– Maszyny do szycia – wyjaśnia ciocia. – Jesteśmy w pracowni krawieckiej. „Mazowsze” to nie tylko tancerki. Żeby taki zespół mógł istnieć, potrzebna jest jeszcze cała rzesza innych ludzi. Krawcowych i krawców, garderobianek i garderobianych, osób odpowiedzialnych za sprawy techniczne, biurowe, komputerowe. Jest ich ponad siedemdziesiąt!



Kierpce

– skórzane buty góralskie wiązane rzemykami.

Kujawiak

– polski taniec ludowy pochodzący z Kujaw (regionu znajdującego się w środkowej Polsce).

– Samych artystek i artystów jest około stu pięćdziesięciu – terkocze Gadałka. – „Mazowsze” jest nazywane ambasadorem kultury polskiej. Zespół koncertował prawie siedem tysięcy razy! W kraju i na całym świecie.

– Fiu, fiu – podziwia Róża.

– Zapraszam dalej – mówi ciocia. Po chwili jesteśmy w ogromnej sali, w której, w specjalnych jakby takich szklanych tubach umieszczono stroje ludowe. – I jak tam? Macie ochotę zobaczyć coś... niecodziennego?

– Pewnie! – wołamy w trójkę, a Róża podskakuje z przejęciem.

Ciocia kilka razy przekręca pierścionek. Tym razem nie ma karmelkowego zapachu ani jasności. Za to rozlega się skoczna muzyka, z tub wyfruwają stroje, chwilę krążą pod sufitem, potem, opadają niczym liście z drzew. Ciocia i Róża są krakowiankami w kwiecistych spódnicach i błyszczących gorsetach, Tyla ma pasiastą, łowicką spódnicę i gorset haftowany w czerwone róże. Ja mam **kierpce**, haftowane góralskie spodnie, białą koszulę i szeroki skórzany pas. Pankot chwilę przygląda nam się uważnie, po chwili zwija się kłębek i zasypia.

– Co teraz? – śmieje się Tyla, kręcąc się jak bąk. Wiruje spódnica i biały fartuszek, wirują kolorowe wstążki.

Krakowianka ciocia znowu coś majstruje przy pierścieniu, muzyka jest coraz głośniejsza i nawet nie wiem kiedy wszyscy zaczynamy tańczyć. Ja w parze z Tylą, ciocia z Różą.

– To **kujawiak!** – woła w pewnej chwili Tyla. Trzymamy się za ramiona i wolno obracamy. – Wiem, bo mój nauczyciel muzyki uwielbia muzykę ludową. – Ciotko, a może teraz coś bardziej szybkiego? Może **oberek?** – proponuje.

Oberek

– skoczny, szybki polski taniec ludowy.





Muzyka zmienia się. Nogi same rwą się do tańca. Wiruję z Tylą, raz kręcimy się w jedną stronę, raz w drugą, a w pewnej chwili zaczynam przytupywać, przyklękiwać. Nie wiem, skąd wiemy, żeby tak robić. Skąd znamy kroki. Wiemy, kiedy zaklaskać. Gdy muzyka kończy się, zasapani stajemy wokół cioci.

– I jak było? – pyta ciocia z szelmowskim uśmiechem. Znowu mamy na sobie swoje normalne ubrania. – Szczepek, jaki z ciebie niesamowity tancerz! – cmoka z uznaniem.

Tyla, Róża i ja cały czas chichotamy, dawno nie byłam w tak dobrym nastroju.

Przed nami ląduje Gadałka, obwieszona ścinkami materiałów i resztkami barwnych wstążek.

– No co? No co? W koszu znalazłam. Już nikomu nie były potrzebne. I jak? – terkocze z przejęciem.

Zanim zdążymy odpowiedzieć, podchodzi Pankot. Na szyi ma ogromną kokardę i uśmiech od ucha do ucha.

Ciocia unosi wysoko brwi.

– Bardzo twarzowo – mówi w końcu z uprzejmym uśmiechem.

Folklor

– twórczość ludowa:
mowa, pieśni,
przyśpiewki,
muzyka,
tańce, stroje,
rękodzieło.

W odrestaurowanym, czyli odnowionym, pałacu Karolin powstanie nowoczesne centrum nauki o **folklorze** dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Będzie to miejsce, w którym usłyszymy wyjątkowe pieśni, zobaczymy jedyne w swoim rodzaju ubiory, instrumenty oraz ozdoby charakterystyczne dla różnych regionów Polski, np. Śląska, Kujaw, Wielkopolski, Kaszub lub Podhala.

Jesteśmy już z powrotem w domu. Ciocia uplotła dziewczynom wianki z kwiatów, po które wszyscy poszliśmy do ogródka i na pobliską łąkę. Znalazła też w szafie dwie kwieciste spódnice, a dla mnie słomkowy kapelusz. Wyglądam jak pastuszek. Brakuje mi tylko stadka gęsi i długiej gałązki w dłoni. Róża i Tyla narobiły miliony zdjęć i rozesłały je rodzicom.

Teraz mamy zajęcia w podgrupach. Ciocia pisze, mówi, że to sprawy projektowo-otrębusowe, Tyla tworzy kolejną bransoletkę, Róża gada z Panemkotem, nadal paradującym z kokardą, a ja myję naczynia po kolacji.

Cały dom pachnie naleśnikami, które przed chwilą wszyscy przygotowaliśmy, i cały rozbrzmiewa muzyką z kompa. Od pewnego czasu słuchamy piosenek w wykonaniu „Mazowsza”. Nie żebym chciał ją mieć na swoim telefonie, ale jest całkiem spoko.

Podbiega do mnie Róża. Rozczochrana jak zawsze, szeroko uśmiechnięta. Na twarzy ma resztki dżemu.

– Szczeppek, Szczeppek – ciągnie mnie za rękę.

– No?

– Mnie się zaczyna podobać. Może już nie będziemy uciekać.



ROZDZIAŁ

Są kwiatki, maselnica i świeże powietrze

Naraz pika moja komórka. To SMS. Od mamy. „Kochany, są jakieś problemy z zasięgiem. Zdzwoniemy się wieczorem, całusy”. I rząd czerwonych serduszek. Odpisuję: „U nas wszystko ok”. I dorzucam emotikon z czerwoną różą i zielonym dinozaurem. Nasza rodzina lubi się tak bawić.

– A dziś dokąd? Dziś dokąd? – podskakuje Róża.

Na głowie ma wczorajszy wianek, zdecydowanie już minął czas jego świetności, ale jej to najwyraźniej nie przeszkadza. Tyla, oczywiście nadal cała na czarno, w bransoletkach tylko żółtych i czerwonych, siedzi na schodkach werandy zapatrzona w telefon.

– Nie wiem. Zobaczymy, co zdecyduje mapa – odpowiada z uśmiechem ciocia, jednocześnie z niespotykaną prędkością przeciera blaty. Wyciera ręce i sięga po mapę leżącą na jednej z półek. Rozkłada ją na stole.

– Mapa jeszcze śpi – zauważam i teatralnie ziewam. – W sumie ją rozumiem. Wakacje, siódma rano, a my już po śniadaniu – krzywię się.

– Ja nie mam wakacji, pracuję – ciocia robi słodką minę. – Mapo, mapeczko, gdzie nas wyślesz tym razem?

Punkty tak mrugają, aż dostaję oczopląsu.

– To normalne? – chce wiedzieć moja siostra.

Pankot otwiera ślepią, miauczy i w tym momencie tańiec na mapie ustaje.

– Jest dzisiejszy zwycięzca! – woła ciocia.



Róże, niezapominajki, słoneczniki. Jakieś niebieskie, jakieś fioletowe. W sumie w każdym kolorze. Malowane kwiaty są dosłownie wszędzie. Na ścianach wiejskich domów, na drewnianych płotach. Nawet na studni. Barwne, cieszące oczy i serce. Tyla robi im zdjęcia, Róża biega od jednego malunku do drugiego i piszczy ze zdziwienia i radości. Pankot gdzieś powędrował wzdłuż płotu w niezapominajki.

– Zalipie, Zalipie! Malowana wioska – skrzeczy Gadałka. – Niezwykła, prawda? Ja uważam, że najpiękniejsza w Polsce. Dziś jest tu około dwudziestu malowanych chałup.

– Tu jest nawet psia buda w kwiatki – odkrywam. Wyjmuję komórkę i robię zdjęcia. Takiego cuda jeszcze nie widziałem.

Ciocia skrzętnie notuje coś w swoim notesie. Na ustach ma leciutki uśmiech.

– Ciociu? – Podchodzę do niej i siadam obok. – Tu będziemy cały dzień?

– Nie, nie. – Nie przerywa pisania. – To tylko część dzisiejszej wyprawy. Projekt...

– Ja! Ja! – woła Gadałka. – Ja opowiem. Dzieci, proszę do mnie! – szepce teatralnie w kierunku Róży i Matyldy, które od dłuższego czasu zamarły przy drzewie z pniem zdobionym malowanymi kwiatami. – Muszę oszczędzać gardło – dodaje w formie wyjaśnienia. – Skansenowa to nazwa projektu, dotyczącego małopolskich muzeów na świeżym powietrzu...

– Hę? – chrząkam. – Niby jakie to muzea? Że dach im zwiało i ściany? I dlatego to świeże powietrze?

– Z ciebie to jednak jest dziwne dziecko – mruczy Tyla. Niby do siebie, ale przecież słyszę. – O skansenach nie słyszałeś?

– Ja mówię! Ja! – wydziera się Gadałka. Zapomniała już o gardle. – W małopolskich skansenach można zobaczyć, jak kiedyś wyglądało codzienne życie na wsi. Bez prądu, wody w kranach i elektryczności. Jak były chaty, dwory, kaplice, młyny, wiatraki, tartaki. Jak wyglądała kuźnia, warsztat tkacki, spichlerze czy folusz, gdzie robiono filc. Zwiedzanie ich przypomina trochę podróż w czasie. Wchodzi się do skansenu, a tu inny świat!

– Jak to? – pyta Róża. Ma taką samą minę, jak wtedy, kiedy czytamy jej książki.

– Zaraz sama się przekonasz! – odpowiada ciocia.





– Czy możecie mi nie przerywać? – denerwuje się Gadałka.
– W chatach są lampy naftowe i maselnice do robienia masła. Nie ma kuchenki gazowej i kaloryferów. Jest za to wielki piec na drewno, który ogrzewał zimą, na którym się gotowało i wypiekało chleb. Na półkach są gliniane naczynia, a w łyżniku drewniane łyżki. Stoją ręcznie robione meble, często malowane we wzory. Łóżko z puchowymi poduszkami sięgającymi sufitu. Obok zielona kołyska dla dziecka. Stroje ludowe, te na co dzień, do pracy w polu i te odświętne. Korale zakładane na specjalne okazje. Nieużywane już dziś narzędzia rolnicze. Trzeba je zabezpieczyć przed upływem czasu, przed warunkami atmosferycznymi...





– Przed pożarem! – woła Róża. – Pożary są bardzo złe – dodaje z poważną miną.

– Tak jest – przytakuje Gadałka. – Przed kradzieżą, zniszczeniem. Trzeba zadbać szczególnie o przedmioty z papieru, gliny, słomy i drewna. Czas im nie służy – cmoka zasmucona. – Dzięki projektowi zmodernizowano blisko sto zabytkowych obiektów. Super, nie? – cieszy się.

– Co to znaczy zmodernizować? – chce wiedzieć Róża.

– Zmodernizować. Czyli unowocześnić – szybko jej wyjaśniam.

– Zadbać o to, by powstały sale wystawowe, edukacyjne, żeby niektóre wystawy miały charakter multimedialny. Dostosować dla osób z różnymi niepełnosprawnościami...

– Aha. A zwiedzimy wszystkie skanseny? – Róża z przejęcia podskakuje na jednej nodze. – Przeniesiemy się pierścionkiem? Tym ze złotymi gwiazdami?

Ciocia unosi brwi. A kiedy to robi, już wiem, że zaraz usłyszymy coś niezwykłego.

– Gotowi?

– Na co? Ale co? Do czego? – zasypujemy ją pytaniami.

Ciocia uśmiecha się, przekręca pierścionek, pachną karmelki i już po chwili jesteśmy wewnątrz chaty, która wygląda dokładnie tak, jak ją przed chwilą opisywała Gadałka. Siedzimy na drewnianej ławce, mamy bosc stopy. Dziewczyny są ubrane w jakieś sukieneczki, ja w porcięta i postrzępioną koszulę. Każde z nas ma przed sobą drewnianą maselnicę i co sił uderza w jej dno ruchomą częścią, takim jakby tłuczkiem. „Klap, klap, klap” – słychać w całej chacie. Uklepujemy śmietanę, taką prawdziwą, wiejską.

Zaciskam zęby. Bolą mnie już ramiona. Trzeba się było solidnie napracować, żeby mieć masło. A chleb? Piekło się go w domu, nie biegało do sklepu. Zerkam spod oka na Tylę. Siedzi bez ruchu, za to do mnie mruga i robi dziwne miny. Trochę trwa, zanim orientuję się, o co jej chodzi: Róży prawie nie widać zza maselnicy, ale wytrwale wyrabia masło.

– Ciotko – mruczy półgłosem Tyla i znowu zaczyna to swoje mruganie.



Ciotka, dostojna, w długiej spódnicy, bluzce i chustce zawiązanej na głowie, patrzy na nas badawczo.

– Różanko? Jak tam? – Podchodzi do niej.

Różanka jest różana na policzkach, na czole ma krople potu.

– Zaraz skończę – sapie.

– Mogę popatrzeć? – pyta ciocia.

– Tak.

Ciocia otwiera maselnicę, zagląda do niej.

– Brawo, kochanie. Masz jeszcze siłę?

– No pewnie – sapie różana Róża i już słyszc jej „klap, klap, klap”. A po chwili: – Ciociu, jakoś jest inaczej. Może już?

Komisynie zaglądamy do maselnicy.

– Wygrała Róża! – woła Gadałka, która do tej pory wylegiwała się na gorze z poduszek.

Komisynie wsadzamy palce do maselnicy.

– Najlepsze masło, jakie jadłam – mlaska Tyla.

Róża jaśniej z radości.

Ciocia przekręca pierścień, znowu jesteśmy dziećmi w naszych własnych ciuchach.



ROZDZIAŁ 5

Są schody i wielkie koło

Skansenova to nazwa projektu, polegającego na odnowieniu i ochronie przed pożarami czy kradzieżą ponad stu zabytków, które możemy zwiedzać w dziewięciu muzeach pod gołym niebem. Są to skanseny w Dobczycach, Nowym Sączu, Zubrzycy Górnej, Sidzinie, Szymbarku i Łosiu oraz w Zalipiu, Dołędze i Wygietzowie. Stare drewniane obiekty zostały wyremontowane. Pojawiły się nowe ścieżki zwiedzania pokazujące życie codzienne dawnych mieszkańców wsi.



Wracamy z Tylą z piekarni. „Pójdziecie drogą prosto aż do skrzyżowania. Na skrzyżowaniu prosto, tak ze sto metrów. Po prawej stronie jest wielki żółty budynek. Na pewno traficie po zapachu”.

Róża została w domu. Chciała pomóc ciotce podlewać ogródek.

Trafiłiśmy, kupiliśmy pieczywo. W powrotnej drodze każde z nas pochłonęło po bułce z makiem.

– Pyszniejszej nie jadłem – pomlaskuję zachwycony.

– Ja też – odmlaskuje Tylka. – Wróćmy i kupmy jeszcze kilka. Może teraz tych z kminkiem?

– Tylko trzeba się pospieszyć – rzucam już w biegu.

Kupujemy, pogryzamy. Wybuchamy śmiechem na widok tłustego kota, który na nas parska, a potem przepada w krzakach, Tyla robi zdjęcie szarej ropusze, która wyskoczyła jej spod stóp, a ja skubię kolejną bułkę.

Kiedy docieramy do domu, wita nas Pankot, ciocia Lusja (dziś w brązach) i Róża z dwoma kucykami ozdobionymi zielonymi kokardkami.

– To ode mnie te kokardki. Ode mnie! – chwali się Gadałka.



– Ale czad! – woła Tyla z podziwem.

Ciocia patrzy na nas uważnie.

– No, ptysie wy moje, nieźle was wczoraj słońce przypaliło. Prosiłam, żebyście się posmarowali kremem, nikt z was mnie nie posłuchał.

– Ja posłuchałam! – nadyma się Róża. – To oni wyglądają jak raczki nieboraczki – zaśmiewa się.

– W takim razie dziś my wybierzemy miejsce wycieczki – oświadcza ciocia stanowczo. – Zabieramy się za śniadanie, czas nas goni. Wszyscy do kuchni, zapraszam.

– Można tak wybierać? – ledwo mówię, bo mam w ustach prawie całego pomidora.

– W pewnych sytuacjach – wyjaśnia ciocia, wyjmując talerze z szuflady. – Na przykład wtedy, kiedy niepełnoletnie osoby są w kolorze malin. – Podchodzi do Panakota, który oczywiście zalega na kanapie, i zaczyna do niego szeptać. Otwiera się jedno szmaragdowe ślepię, po chwili znowu zamyka. – Okej. Dziś Pelplin. Tam was słońce nie dopadnie. Aha. Obowiązkowo wygodne buty. Żadne klapki. Będzie dużo chodzenia.

Hyc!

– To kościół? – Róża zadziera wysoko głowę. – Ogromny. Najogromniejszy.

– Robi wrażenie, prawda? Bazylika katedralna Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Pelplinie. Jeden z największych kościołów zbudowanych z cegieł. Oczywiście mówimy o Polsce – dodaje ciocia.

– O, tam na prawo jest tablica z niebieską flagą i gwiazdkami – zauważa Róża. – Ja pierwsza zauważyłam! Ja! – cieszy się. – Nie Tyla, nie Szczepk.

– A bawiliśmy się w jej szukanie? – prychem i zapowietrzam się z oburzenia. – Ustaliliśmy jakieś zasady? Było coś w stylu: szukanie flagi unijnej, czas start?

Tyla wybucha śmiechem i szturcha mnie łokciem.

– Brawo, Różyczko – mówi głośno, a potem odwraca się w moją stronę i szepcze: – Elo, kuzyn, wyluzuj. To jeszcze dziecko.

– Masz rację – mruczę zakłopotany.

– Uwaga. Mówi się! – woła Gadałka. – Opowiem wam tutejszą legendę. Dawno, dawno temu wędrowali tu mnisi. Towarzyszył im osiołek i naraz, tak zupełnie bez powodu,

**Bazylika
katedralna
Wniebowzięcia
Najświętszej
Maryi Panny
w Pelplinie**

należała do zakonu cystersów. Powstała między XIII a XVI wiekiem. Teraz jest jedną z głównych atrakcji turystycznych Pomorza. Wraz z klasztorem i pozostałymi średniowiecznymi zabudowaniami tworzy zespół zabytków o szczególnym znaczeniu dla polskiej kultury i historii.

zapał się, jak to przysłowiowy osioł. Kopyta w ziemię i ani kroku w żadną stronę... Co cię tak śmieszy? – Oburzona zawisa przede mną.

– No, bo wyobraziłem sobie, jak ten osioł stoi, he, he, a mnisi kuszą go marchewką, he, he, he.

– Mnichom spodobała się okolica. Uznali, że będzie im się tu dobrze żyło i zaczęli budowę klasztoru – ciągnie Gadałka, ale jest do mnie odwrócona tyłem. Tylka dyskretnie puka się palcem w czoło i szepcze do mnie:

– Nie wychylaj się, co?

– Aha, wewnątrz jest najwyższy drewniany ołtarz w Polsce i drugi w Europie – dodaje ciocia.

– To ja miałam mówić, pani Lusi, to moje zadanie! – Gadałka fuka wielce obrażona.

– Będziemy zwiedzać? – pyta Róża. –

Tak jak inni? – Wskazuje ręką na turystów.

– Wszystko w swoim czasie. – Ciocia mruga do nas. Pochyliła się nad jaśnie Panemkotem i zaczyna do niego szeptać. – Kot zostaje, a my w drogę – ogłasza i kieruje się prosto do wejścia głównego. Wchodzimy do środka.

– Aaaa! – wyrywa nam się jednocześnie spod serca. Ciocia kiwa głową z taką miną, jakby nie spodziewała się innej reakcji.

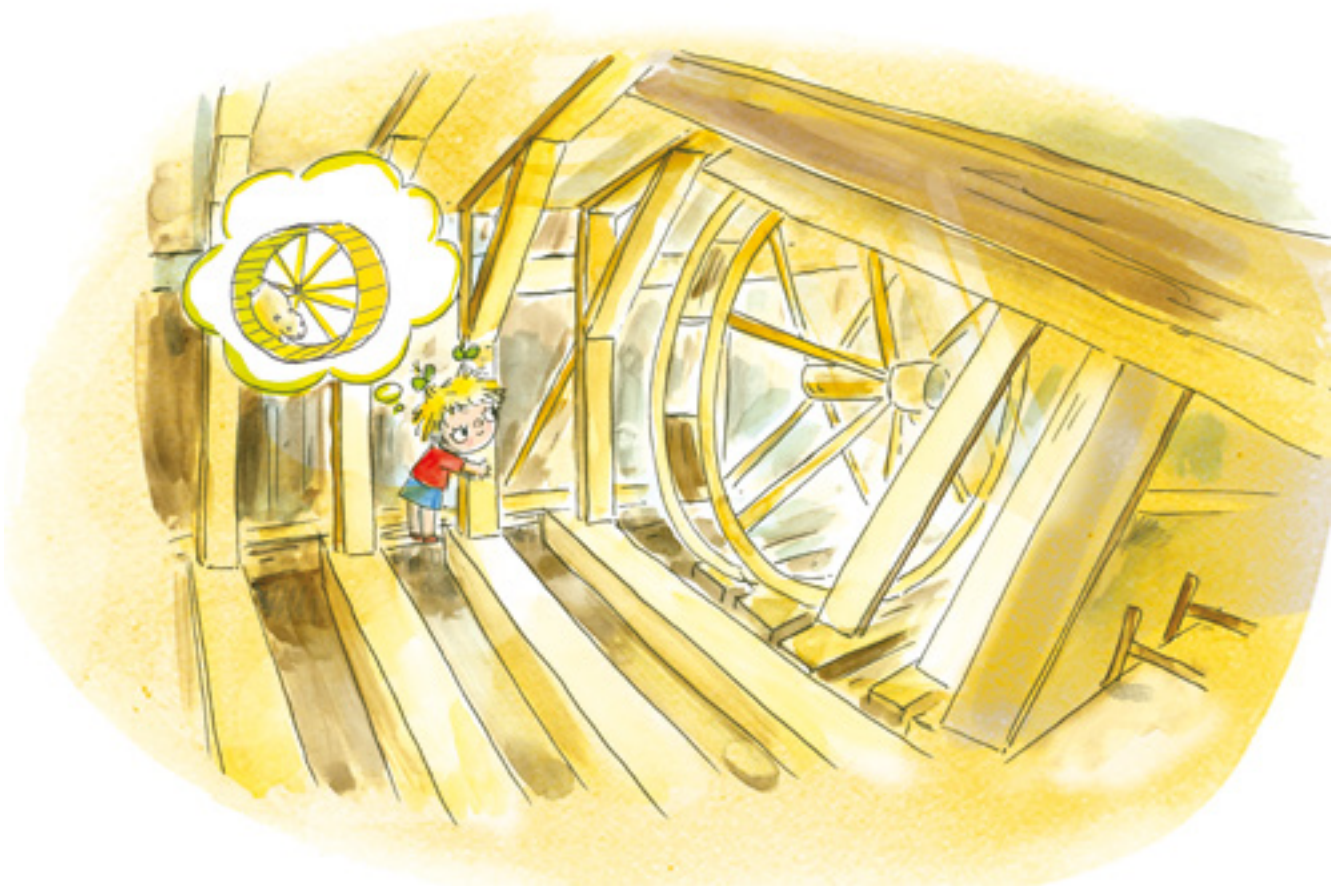
– Będę waszym przewodnikiem – oznajmia. – Uda się tylko, jeśli Gadałka zechce mi pomóc.



– Zechcę! Zechcę! – cieszy się Gadałka. – Zaczynamy, proszę wycieczki. Organy z XIX wieku, zbudowane z ponad czterech tysięcy piszczałek, czyli jedne z największych w Polsce. Główny ołtarz. Drewniany. Ma dwadzieścia pięć metrów wysokości i pięć kondygnacji.

Próbuję sobie wyobrazić czteropiętrowy blok, w którym mieszka babcia Halinka, i wychodzi na to, że ołtarz jest wysokości mniej więcej dziesięciopiętrowego wieżowca. To robi wrażenie.

– To, co teraz oglądaliśmy, jest ogólnie dostępne. Chciałam wam pokazać coś, co niedługo będzie dostępne dla turystów właśnie dzięki kolejnemu unijnemu projektowi – proponuje ciocia i zaczyna do nas mrugać.



– Czyli co? – Podskakuję z przejęcia zupełnie jak Róża. Ciocia kiwa na nas i ruszamy w kierunku otwartej metalowej kraty. Po chwili stajemy przed wąskimi drewnianymi drzwiami.

– Zamknięte – zawiedziona Tyla wskazuje na sporą kłódkę.

– Mamy przecież to. – Ciocia macha do nas palcem z magicznym pierścionkiem. Przekręca go i stoimy w wąskim ceglany pomieszczeniu. A przed nami schody w górę. I małe okienko. – Mało tu miejsca, kiedy się nimi idzie, nie ma szans, żeby się nie ubrudzić. Zawsze wracałam stamtąd z pajęczyną we włosach. Na drugim poziomie, czyli na poddaszu katedry, jest trochę jaśniej. I tam znajduje się maszyna licząca ponad pięćset lat, za pomocą której wciągano na górę materiały potrzebne do budowy.

– Jak? – przerywa Tyla.

– Spuszczano linę i do niej przyczepiano to, co miało znaleźć się na górze. Oczywiście nie było prądu i kierat poruszała się dzięki robotnikom, którzy nim kręcili.

– Jak kiedyś konie w kopalni – zauważam.

– Taka była wtedy technika – dorzuca Gadałka.

– Tak – przytakuje ciocia. – Tam jest jeszcze jedno urządzenie. Koło deptakowe, ma około pięciu metrów.

– Ciotko, hycnijmy – proponuje Tyla. – Tam będziesz dalej opowiadać.

– O tak, tak – cieszy się Róża.

– Dobry pomysł. Jedna chwila – mruży ciocia pochylo-
na nad plecakiem. Wyciąga z niego latarki i podaje każdemu
z nas, a potem przekręca pierścionek.

Poddasze jest niezwykle, wygląda jak drewniany tunel.
Niezwykle jest też to koło deptakowe. Róża patrzy na nie, prze-
krzywając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. W końcu
mówi:

– Podobne do koła Malusia. Maluś to chomik mojej
koleżanki. Oksanki. Razem chodzimy do przedszkola. Jak to
działało?

– Mężczyźni chodzili w nim podobnie jak Maluś – tłu-
maczy Gadałka. – Wtedy uruchamiał się cały system bloków
oraz przekładni i można było wciągać na górę nawet ciężary.

– Fajne – mówimy jednocześnie Tyla i ja.

– Ciociu? A jest tu gdzieś ten osiołek z legendy? Może jest
jego figurka? Może gdzieś go namalowali? – pyta Róża z powagą.

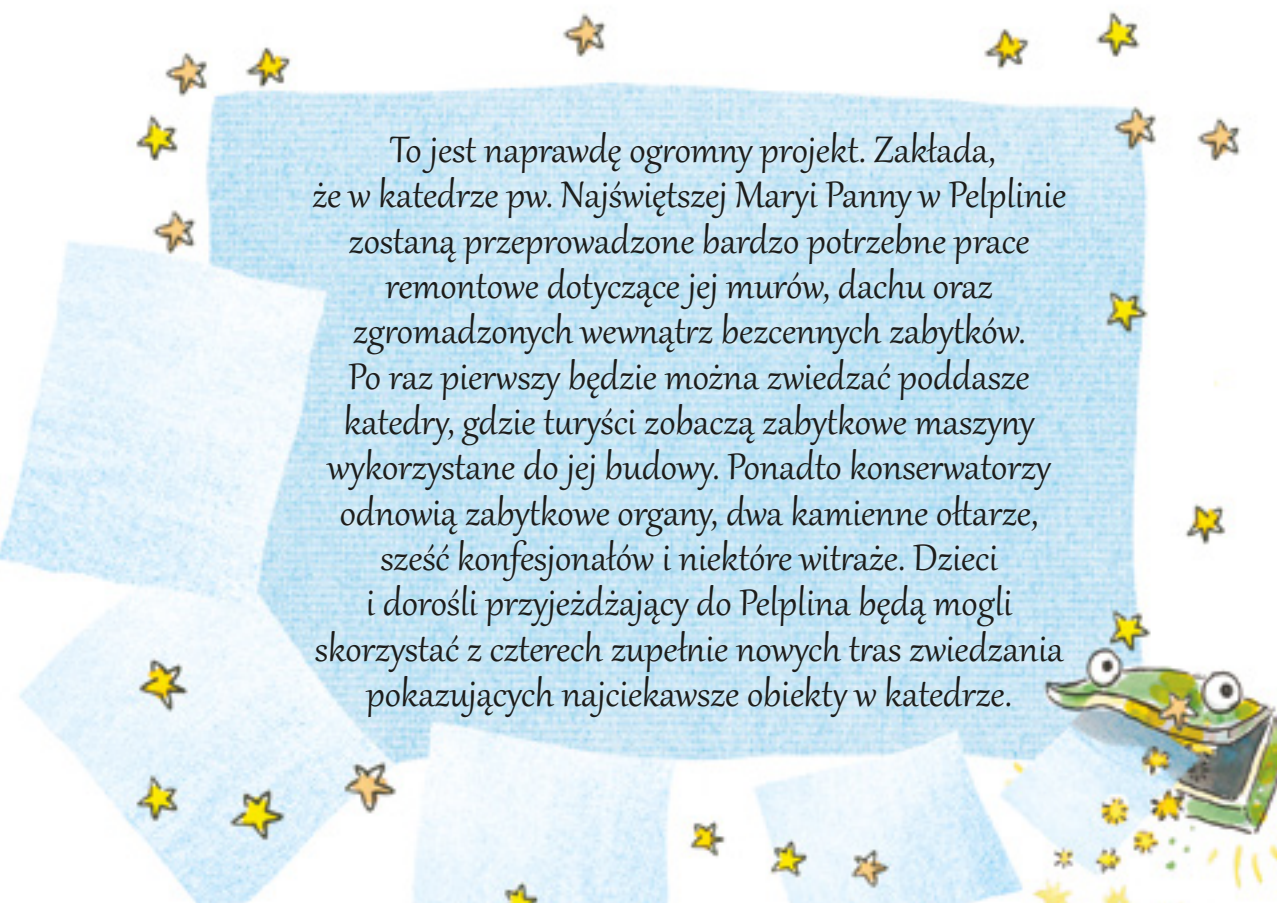
– Nie wiem. – Ciocia bezradnie rozkłada ręce. – Gadał-
ko, powiesz nam coś na ten temat?

– Eee, wydaje mi się... sadząc z tego, co wiem, to... –
stęka Gadałka z wysiłkiem. Pierwszy raz nie wie, co powie-
dzieć, i chyba sprawia jej to przykrość.


– Gadałko? – zaczynam niedbałym głosem. – Tak sobie
myślę, że bez ciebie nie udałoby się to nasze hycanie.

– Właśnie – przytakuje Tyla. – Kiedy dorosnę, chcę być
tak mądra jak ty – kończy z zapałem, jednocześnie do mnie
mrugając.

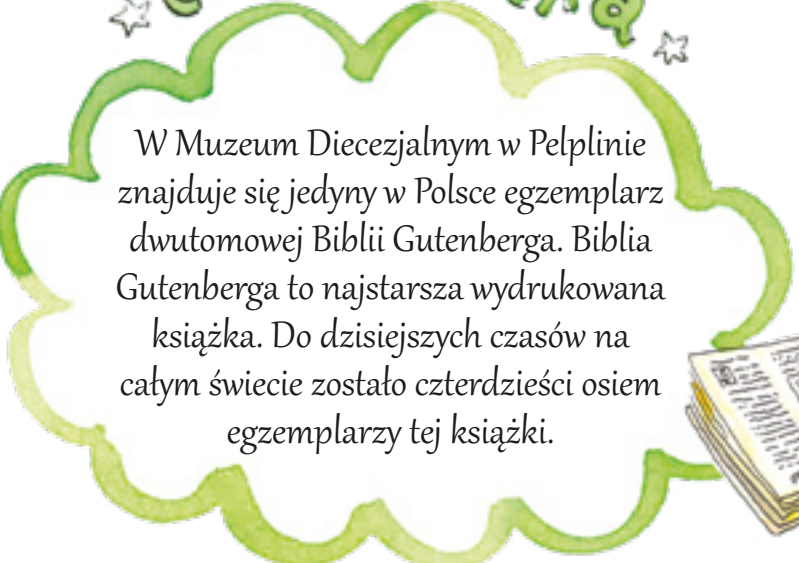
A Gadałka z radości fika koziołka pod sufitem.




To jest naprawdę ogromny projekt. Zakłada,
że w katedrze pw. Najświętszej Maryi Panny w Pelplinie
zostaną przeprowadzone bardzo potrzebne prace
remontowe dotyczące jej murów, dachu oraz
zgrupowanych wewnątrz bezcennych zabytków.
Po raz pierwszy będzie można zwiedzać poddasze
katedry, gdzie turyści zobaczą zabytkowe maszyny
wykorzystane do jej budowy. Ponadto konserwatorzy
odnowią zabytkowe organy, dwa kamienne ołtarze,
sześć konfesjonatów i niektóre witraże. Dzieci
i dorośli przyjeżdżający do Pelplina będą mogli
skorzystać z czterech zupełnie nowych tras zwiedzania
pokazujących najciekawsze obiekty w katedrze.



ciekawostką



W Muzeum Diecezjalnym w Pelplinie
znajduje się jedyny w Polsce egzemplarz
dwutomowej Biblii Gutenberga. Biblia
Gutenberga to najstarsza wydrukowana
książka. Do dzisiejszych czasów na
całym świecie zostało czterdzieści osiem
egzemplarzy tej książki.



ROZDZIAŁ 6

Spotykamy srebrnoskrzydłego anioła i przeszkodniki

Budzi mnie miarowy, monotony dźwięk. Chwilę trwa, zanim sobie uświadamię, że to deszcz.

– Miałam śmieszny sen! – Przeciąga się Róża. – Śniło mi się, że jestem cała wymalowana w kwiatki. Najwięcej było różyczek. Miałam je nawet na nogach, na czole. – Gestykułuje z przejęciem. – Byłam na naszym placu zabaw z Karolinką i Filipem i rozpadało się. Wszystkie kwiatki mi spłynęły. Ale to nie koniec. – Patrzy na mnie rozjaśnionym wzrokiem. – One urosły. Na alejce. Fajne, co?

– Fajne – przytakuje Tylka. Musiała się obudzić przed chwilą.

– A tobie coś się śniło? – pyta Róża.

Matylda się zamyśla.

– Byłam w lesie, też tam były malowane kwiatki. Potem zaczęło coś warczeć. Myślałam, że to piła, że ktoś ścina drzewa, potem, że to warkot ogromnie wielkiego niedźwiedzia, a później się okazało... – urywa teatralnie.

– Oj, powiedz, powiedz! – Róża podskakuje. Już nie na podłodze tylko w nogach łóżka Tyli.

– Okazało się, że to chrapanie Szczepka – kończy Tyla i uśmiecha się do mnie słodko.

Zapowietrzam się z oburzenia. Dziewczyny chichoczą. Skrzypią drzwi i do pokoju wkracza Pankot. A z nim jakiś taki słodki zapach.

– Naleśniki – niucha Tyla.

– Nie, nie. – Róża kręci głową. – Jakies bułeczki.

– Dzieci! Pankejki czekają! – woła ciocia z dołu.

Zbiegamy po schodach niczym tabun koni. I rzucamy się na śniadanie, jakbyśmy nie jedli od stu lat. Ciocia, dziś niebieska niczym piórko sójki, patrzy na nas z uśmiechem, to dołoży placek, to doleje syropu klonowego.

– Przepyszne – mówię z pełnymi ustami. – Zaraz pękne z przejedzenia – uprzedzam uczciwie.

– Kochany, nie martw się. Mam tu nici w różnych kolorach, igły w różnych rozmiarach. Zszyjemy, nawet śladu nie będzie. – Ciocia uśmiecha się i miłym gestem dotyka mojego ramienia.

– A my dziś nie hycamy? – pyta Róża i hojnie nalewa sobie syropu klonowego na talerz. – Dziś wolne? Czy co?

– Nie samą pracą człowiek żyje – odpowiada ciocia.

– Ciotko, co ty kombinujesz? – śmieje się Tyla.

Niebieska ciocia sprawia wrażenie niepewnej. W takim wydaniu jej jeszcze nie widziałem.

– Pomyślałam, że nie zachowałam się w stosunku do was całkiem w porządku. Mam swoją pracę, mam obowiązki,

ale przecież wy możecie być zmęczeni. Dlatego zastanawiam się, czy nie chcecie dziś zrobić sobie wolnego? Spędzimy dzień nad rzeką albo w ogrodzie... coś wymyślimy. Co wy na to?

Zerkam na dziewczyny. Wcale nie mają zadowolonych min.

– Ja chcę hycać! – głos Róży drży niebezpiecznie. Mam nadzieję, że się nie rozpłaczę. – Tylka, Szczepek, prawda, że chcecie hycać? Nie jesteście zmęczeni – apeluje do nas.

– Nie jesteśmy – mówię.

– I chcemy hycać – dodaje Tyla.

Ciocia sprawia wrażenie zadowolonej.

– Wyruszamy za czterdzieści minut. Zdążycie? Zbieracie się?

– Pewnie – odpowiada zdecydowanie Róża.

– Nasza pani generał – mruczy Tyla. Puszczą oko do mnie i do cioci, a Róży przyklepuje sterczące włosy.

– Jak ja się cieszę na hycanie, jak ja się cieszę! Będę mogła mówić i mówić! – Do kuchni wlatuje Gadałka i robi piruet pod sufitem. Niestety zaplątuje się w pęk ziół. – Mam alergię na kurz – woła między jednym kichnięciem a drugim.

Pankot miauczy.

Dziewczyny i ja się zaśmiewamy.

Ciocia łapie się za głowę.

Jest fajnie.



Hycamy?



Siedzimy w jednej z drewnianych ławek i podziwiamy wnętrze. Róży najbardziej podobają się ruchome aniołki w organach. Mnie podoba się wszystko. Nigdy nie widziałem takiego kościoła. To Kościół Pokoju. Gadałka powiedziała, że to jedna z największych drewnianych budowli religijnych w Europie.

– Trudno mi uwierzyć – mruczy Matylda. – Ciotko, naprawdę zbudowano go bez cegieł i kamienia?

– Naprawdę – przytakuje ciocia. – Tylko drewno, słoma i glina. Aha. Mówią, że bez gwoździ, ale to akurat nieprawda.

– Świątynia może pomieścić prawie siedem i pół tysiąca osób. Miejsc siedzących jest trzy tysiące – terkocze Gadałka.

Siedem i pół tysiąca osób. Dorosłych, dzieci, kobiet i mężczyzn. Tyle, co w całym Olsztynku, w którym mieszka ciocia Ania, siostra taty. Trudno sobie wyobrazić, że wszyscy mieszkańcy Olsztynka zmieściliby się tutaj.

– Nawet gdybym tu przychodziła przez caluśki tydzień, codziennie na pięć godzin, nie na osiem albo nawet dziewięć – marszczy nos Róża – to i tak bym nie obejrzała wszystkiego. O tam, tam, na górze. Widzicie? Jakby kwiatki, jakby liście. Szkoda, że nie mamy lornetki.

Od kręcenia głową w różne strony już boli mnie kark. A jest na co patrzeć. Wszystko zdobione, malowane. Mama pewnie dodałaby, że eleganckie i dostojne.

– Pięknie. Przepiękne kolory. Trochę jak w kalejdoskopie – szepcze do mnie Tyla. – Moja ukochana zabawka – dodaje w kwestii wyjaśnienia.

– To kościół **ewangelicki**. – Ciocia nachyla się w naszą stronę i mówi półgłosem. – Kiedy powstawał na początku XVII wieku, były pewne obostrzenia...

– Czyli? – pyta Róża. – Co to te obostrzenia?

– Czyli pewne surowe zasady, których należało przestrzegać – wyjaśnia ciocia. – Gadałko, nie fukaj, mów.

– Do budowy wolno było używać tylko drewna, słomy, gliny...

– A piasku? – dopytuję.

– Też – potwierdza Gadałka. – Świątynie można było budować tylko poza murami miasta, to się nazywało „na odległość strzału armatniego”. Aha. Nie wolno było zbudować dzwonnicy.

– Czemu tak? – Otwieram oczy ze zdumienia.

– Takie czasy, taka historia – terkocze Gadałka. – Potem zasady się pozmiały i teraz można podziwiać dzwonnice. Dobudowaną później, ma się rozumieć.

– Ciotko? Co tu będą robić? No, chodzi mi o projekt – uściśla Tyla.



– Przede wszystkim konserwować drewno, czyli chronić je przed zniszczeniem. Zajmują się tym konserwatorzy. Przeprowadzają takie prace, które pozwalają przywrócić zażytkowy obiekt do stanu dawnej świetności. Drewno to nie tylko ściany, podłoga, sklepienie, ołtarz, ławki. To schody, klęczniki, skrzynki na modlitewniki i śpiewniki – wylicza ciocia. – Wiem, że konserwatorzy muszą walczyć z kołatką, spuszczaniem i grzybem. To szkodniki drewna... Naprawdę, to takie wesołe? – Zdziwiona patrzy na naszą trójkę, która zaczyna więc się ze śmiechu.

– Nazwy są śmieszne – wyjaśnia Tyla, chichocząc raz za razem.

– Gdy skończycie się śmiać, chcę wam coś jeszcze pokazać wokół świątyni – wzdycha ciocia.

– Nie sądzę, żeby szybko przestali – wtrąca Gadałka.

Ciotka bez słowa przekręca pierścione i wywiewa nas na zewnątrz.

Ciemny dach z wieżyczką. Zegar pod dachem. Białe ściany poprzecinane ciemnymi belkami. Przypomina mi

Ewangelicy

– to chrześcijanie, dla których Biblia jest jedynym źródłem wiary.

Technika szachulcowa

– technika budowlana, w której szkielet ściany stanowi drewno, a wypełnieniem jest glina. Budynek szachulcowy łatwo można rozpoznać – jego ściany są zwykle białe otynkowane, poprzecinane ciemnymi belkami, często ułożonymi w szachownicę.

się, co mówiła moja pani od historii. Że to **technika szachulcowa**. Zapamiętałem, bo na klasówce Jeremiasz się pomylił i napisał „technika szachowa”.

– Z zewnątrz nie wygląda jak kościół – zauważa Tyla.

– To też było jedno z obostrzeń – wyjaśnia ciotka. – Żeby świątynia nie wyglądała jak świątynia. Muszę się tu jeszcze pokręcić. Różanko, co robisz?

– Chcę narysować te przeszkodniki, które niszczą drewno. – Róża już zrzuciła plecak na trawę i teraz wyciąga z niego kilka kredek i zeszyt. – Jak ten jeden się nazywał? Grzechotek?

– Kochani moi... – ciocia zawiesza głos i zaczyna mrugać.

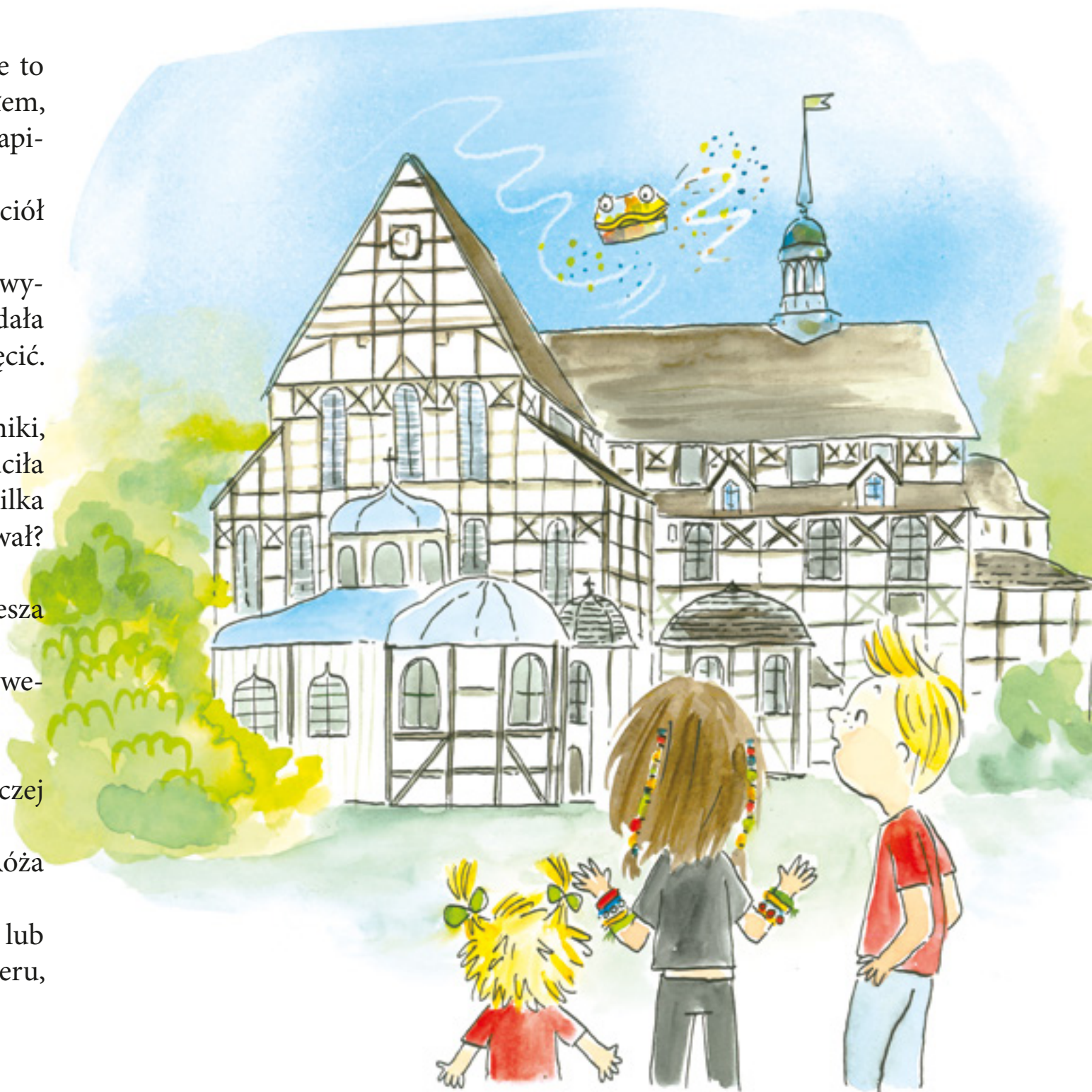
– Co tam, ciotko, planujesz superowego? – pyta Tyla i też mruga jak najęta.

Ciocia przekręca pierścień.

– Jesteśmy w pracowni pozłotniczej – oświadcza ciocia.

– Jakiej? – pytamy chórem, Tyla, Róża no i ja.

– Pozłotniczej. Tu można wyzlodzić lub wysrebrzyć przedmioty z drewna, papieru, metalu albo szkła.





Pociągam nosem. Zapach... jakby farby i rozpuszczalnika. Rozglądam się dookoła. Wzrok sam się kieruje do otwartej szafki, pełnej różnych butelek i pojemników.

Na środku pomieszczenia jest stół, na nim coś drewnianego, poskręcane, co wygląda jak ogromna rama. Tylko ta rama w jednej części jest w swoim naturalnym drewnianym kolorze, w drugim błyszczy się od złota. Róża staje przed drewnianym aniołkiem, który wisi nad biurkiem pełnym notatek i kolorowych albumów.

Aniołek jest uśmiechnięty, pyzaty i ma srebrne skrzydła.

– Jest piękny – wzdycha zachwycona.
– Pamiętam tę rzeźbę. – Ciocia staje obok niej. – Parę lat temu trudno było domyślić się, co przedstawia. Skrzydła pomalowano na niebiesko, dopiero po zdjęciu farby okazało się, że oryginalne były srebrzyste.

– W tej pracowni wyzłocono i wysrebrzono wiele przedmiotów pochodzących z Kościoła Pokoju w Świdnicy – terkocze Gadałka. – Najpierw trzeba było je oczyścić z brudu, z resztek starych farb. Potem uzupełnić ubytki, czyli to, co z biegiem lat odpadło lub odłamało się z przedmiotu. Czasami są one spore, czasami tak małe jak główka szpilki.

– A potem co? – pyta Róża nadal wpatrzona w srebrnoskrzydłego aniołka. – Potem się bierze srebrną albo złotą farbą i maluje?

– Używa się płatków złota, które są cieniutkie i delikatne – mówi Gadałka. – Przecina się je specjalnym nożem, na specjalnej poduszce.

– Co to za specjalny nóż i specjalna poduszka? – chce wiedzieć Tyla.

– Nóż musi być bardzo ostry, żeby nie poszarpał płatków złota, a poduszka skórzana – wyjaśnia Gadałka. – Delikatnym pędzlem nakłada się płatki złota tam, gdzie potrzeba. Ostatni etap to polerowanie. Do tego wykorzystuje się kamienie półszlachetne. Kiedyś zamiast nich używano filcu i kłów dzikich zwierząt.

– Żartujesz, prawda? – pyta Tyla.



– Nie. – Gadałka jest poważna. – Srebro też może być w postaci płatków...

– To łatwe, takie złocenie – przerywam. – Nic trudnego.

– Czyżby? Taka praca nie jest łatwa i wymaga wiele cierpliwości. – Ciocia unosi brwi. – Chcecie spróbować? – pyta.

– Nie – mówi zdecydowanie Tyla. – Znam swoje możliwości.

– Ja chcę! – woła Róża. – Albo jednak nie, popatrzę, jak Szczepiek się męczy – chichocze.

– No, pewnie – mówię.

Ciocia przekręca pierścień i przede mną pojawia się drewniana kiść winogron, wielkości mojej dłoni. Owoce są pomalowane fioletową farbą, na listkach widać resztki złota. Mam też ten specjalny nóż, poduszkę i pędzel.

– Zaczynaj, chłopcze, zaczynaj – skrzeczy Gadałka.

– Liście trzeba pozłocić, gdybyś się nie zorientował.

Już po chwili wiem, że nie będzie to bułka z masłem. Książeczka, w której są złote płatki, jest delikatna. Staram się wyciąć kawałek, ale zamiast ładnego kwadratu ucina mi się coś poszarpanego. Nie jest łatwo przenieść płatek. Gadałka szepcze, że musimy przykleić płatki wazeliną.

Naraz swędzi mnie nos. Drapię się po nim wierzchem dłoni. Przygotowuję kolejny płatek złota, już mam go położyć na liściu, kiedy nagle kicham, a płatek sobie frunie. Dziewczyny wybuchają śmiechem, nawet Gadałka wydobywa z siebie coś na kształt cichego: „chy, chy, chy”.

– Poddaję się – mruczę z czerwonymi policzkami. – Nie wiem, co mnie podkusiło.

Ciocia przekręca pierścień i pracownia znowu wygląda jak na początku naszej wizyty.

– To teraz do domu, tak? – pyta i kładzie rękę na pierścieniu.

– Tak – bąkam nadal z czerwonymi policzkami.

– Pa, pa, srebrnoskrzydły. – Róża rozsyła całusy po pracowni. – Cieszę się, że cię poznałam.



ROZDZIAŁ 7

Bransoletki i dama ze zwierzątkiem, choć nie kotem

Coś mnie budzi. Otwieram oczy i widzę przed sobą Panakota. Siedzi mi na klatce piersiowej i wpatruje się tymi obłądnymi oczami.

– Elo, co tam? – szepczę, bo nie chcę obudzić dziewczyn. Zerkam na telefon. Szósta piętnaście. Nie pamiętam, kiedy ostatnio obudziłem się o takiej godzinie. – Dobra, dobra, już wstaję – mruczę.

Jaśnie kot miękko zeskakuje na podłogę. Po chwili jesteśmy na werandzie.

– Po co tam idziemy? – pytam, bo Pankot kieruje się do ogrodu. Ruszam za nim i po chwili otacza nas zieleń, zapach, krople porannego deszczu błyskające na końcach liści. – Pięknie – mówię szczerze, a Pankot miauczy, że się ze mną całkowicie zgadza.

Wracam do domu. A w kuchni ciocia. Dziś fioletowa. Nad kartkami, notatkami rozsypanymi na stole, nad magiczną mapą, która mruga ciemnym punktem.

– Co tam, Szczepku? – uśmiecha się szeroko do mnie. – Czemu tak wcześnie?

– Tak jakoś – odwzajemniam uśmiech.

Projekt w tym bezcennym siedemnastowiecznym kościele polega na przeprowadzeniu wielu potrzebnych prac konserwatorskich, jak na przykład renowacji starych ław kościelnych, drewnianych rzeźb czy malowideł.

ciekawostką

W 2018 roku Kościół Pokoju w Świdnicy został uznany przez czytelniczki i czytelników „National Geographic Traveler” za jeden z siedmiu nowych cudów Polski.



Wracam do pokoju. Róża pochrapuje przez sen, Tyla plecie kolejną bransoletkę.

– Elo, kuzynie.

– Elo, kuzynko.

– Te twoje sznurkowe płataninki są okej – wrywa mi się i czuję, jak uszy mi czerwienieją, bo jestem pewien, że zaraz mnie wyśmiej.

A tu zdziwienie. Tyla sprawia wrażenie zawstydzonej.

– Tylko tak mówisz – burczy.

– Nie, serio.

Matylda sięga po plecak i z bocznej kieszeni wyjmuje kilka bransoletek.

– Jak chcesz, to proszę – mówi z czerwonymi policzkami.

Wybieram zieloną. To mój ulubiony kolor. Tyla pomaga mi ją założyć. I nagle przed nami staje rozczochrana Róża.

– Przepraszam, a co tu się wyprawia?

Bez słowa wyciągam przed siebie nadgarstek.

– Ja też chcę, Tylo, Tyleczko, mnie też daj. O, ta błękitna jest śliczna, i ta żółta też. A ta we wzorki też cudna!

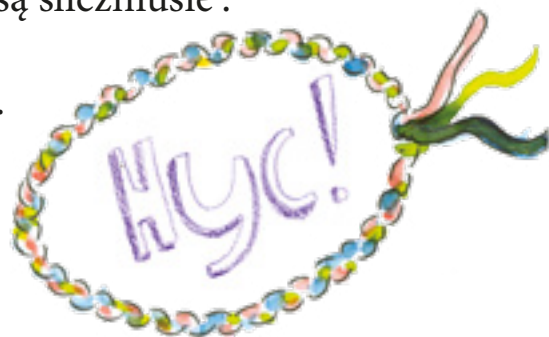
– To weź wszystkie – mówi Tyla po prostu.

Koniec końców po chwili Róża ma na nadgarstkach cztery bransoletki, bo „wszystkie są ślicznissime”.

Fajnie zaczął się ten dzień.

Do pokoju wlatuje Gadałka.

– Hycamy do Krakowa.



Kraków każde z nas zna. W mniejszym lub większym stopniu. Ciocia studiowała tu historię sztuki, Tyla była wielokrotnie u siostry taty, Róża i ja mieszkaliśmy w tym mieście przez rok. Ona była wtedy malutka, więc niewiele pamięta. Ja w sumie niewiele więcej.

– Pójdziemy do smoka, prawda, prawda? – Podskakuje Róża.

Na głowie ma kolorowy wianek. Taki sam ma Tyla. Ciocia kupiła je w budce u kwiaciarki na rynku. Teraz siedzimy na jednej z ławek. Róża karmi gołębie ziarnem kupionym u innej kwiaciarki, Tyla i ja zajadamy się preclami, ciocia wertuje swoje notatki, Gadałka gdzieś jest, ale jej nie widać. Pankot został w domu.

– Pójdziemy, Różanko, ale potem. Teraz ruszamy do muzeum – mówi ciocia. Też dostała od Tyli bransoletkę.

– No to idźmy. Szybciej zaczniemy, szybciej skończymy. – Róża hojnie wysypuje całe ziarno na trawę, co gołębie przyjmują z zadowoleniem, szczególnie taki jeden szarawy, który porusza się z prędkością światła. – Którędy?

Izabela Czartoryska

– żona księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego. W XIX wieku w Puławach stworzyła pierwsze polskie muzeum, które zostało potem przeniesione do Krakowa.

– Prosto, a potem w prawo – skrzeczy Gadałka gdzieś nad nami. – Idziemy do muzeum założonego przez **Izabelę Czartoryską**. To jedno z najważniejszych polskich muzeów. Aha. Jest tu jeszcze wspaniała biblioteka. Pani Lusi, a co to za mina?

– A... rozmarzyłam się – wzdycha ciocia. – Zatonęłam we wspomnieniach. Kiedyś tu pracowałam. Przez wakacje. I był też taki czas, że przychodziłam do tego muzeum kilkanaście razy w ciągu miesiąca.

– Fiu, fiu. To mi, ciotko, imponujesz – odzywa się Tyla. – A czemu?

– Sami zobaczcie – odpowiada ciocia. – Piękne wnętrza, niezwykle eksponaty, specyficzna atmosfera. Wspaniale się to razem komponuje – znowu wzdycha.

– Znajdują się tutaj światowe arcydzieła, takie jak „Portret damy z gronostajem” **Leonarda da Vinci**, „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem” Rembrandta i „Portret mężczyzny” Hansa Holbeina... – wtrąca Gadałka.

– Wejdziemy? Czy hycniemy? – pyta Róża.

– Hycniemy – proponuje Tylka. – Wejść to może każdy, nie każdy ma magiczny pierścień!

Ciocia jest wyraźnie wzruszona. Przekręca pierścione i w karmelkowym zapachu wywiewa nas do sali, w której wisi tylko jeden jedyny obraz. Podświetlony wśród ciemnych ścian, przyciąga wzrok. Siadamy naprzeciwko niego.

– „Portret damy z gronostajem”. Jedyne dzieło da Vinci w Polsce – szepcze Gadałka. – Żeby zobaczyć obraz, ludzie przyjeżdżają tu z całego świata.

Nie wiem, jak długo siedzimy w milczeniu i przyglądamy się. Ciszę przerywa Róża:

– Jest piękne – wzdycha z zachwytem. A po chwili dodaje: – Ale tak sobie myślę, że gdyby pan da Vinci namalował kotka zamiast tego zwierzątka, byłoby lepiej.

Prychamy ze śmiechu, a ciocia przygląda nam się wyraźnie zamyślona.

– Co tam, ciotko? – pyta Tyla. – Znam tę minę, co znowu planujesz?

– Przyjrzyjcie się raz jeszcze obrazowi, dobrze? Tylko tak dokładnie – prosi.

Przyglądamy się. Róża najpierw była poważna, teraz patrzy na obraz raz prawym, raz lewym okiem.

– Już? – pyta ciocia.

– Tak – potwierdzamy.

– Lubicie baśnie?

– No pewnie – odpowiada entuzjastycznie Róża.

– A pamiętacie taką, w której chłopak szukał ukochanej i pewnego razu trafił do komnaty, gdzie było dwanaście dziewcząt wyglądających tak jak jego wybranka? I musiał rozpoznać, która jest ta jego jedna jedyna?

Leonardo da Vinci

– włoski malarz, architekt, odkrywca, matematyk, mechanik. Żył na przełomie XV i XVI wieku. Uznawany za jedną z najbardziej utalentowanych osób w historii.

– I jak sobie poradził? – dopytuje się Tyla. – Bo poradził sobie, prawda?

– Nad głową ukochanej zaczęły krążyć pszczoły, którym wcześniej pomógł.

– Czyli zaliczył podpowiedź. – Kiwam głową. – A po co nam mówisz o tej dziewczynie i pszczołach?

Brwi ciotki zaczynają taniec, ona przekręca pierścionek i naraz znajdujemy się w innej sali. Na jednej ścianie wisi kilkanaście **reprodukcji** „Damy z gronostajem”.

– Nadal czuję karmelki. – Róża mocno wciąga powietrze nosem. – Mniem, mniem.

– Ciotko, jesteśmy dalej w muzeum? – Tyla marszczy brwi.

– Nie, nie. To na potrzeby tego, co was zaraz czeka. – Ciocia mruga do nas.

– To zdjęcia? – pytam zaciekawiony.

– Cyfrowe wydruki. Z różnych źródeł – wyjaśnia ciocia.

– Co znaczy cyfrowe? – pyta Róża.

– To taki elektroniczny obraz. Możesz go oglądać na komputerze – wyjaśnia szybko Tyla. – Lub możesz wydrukować na papierze.

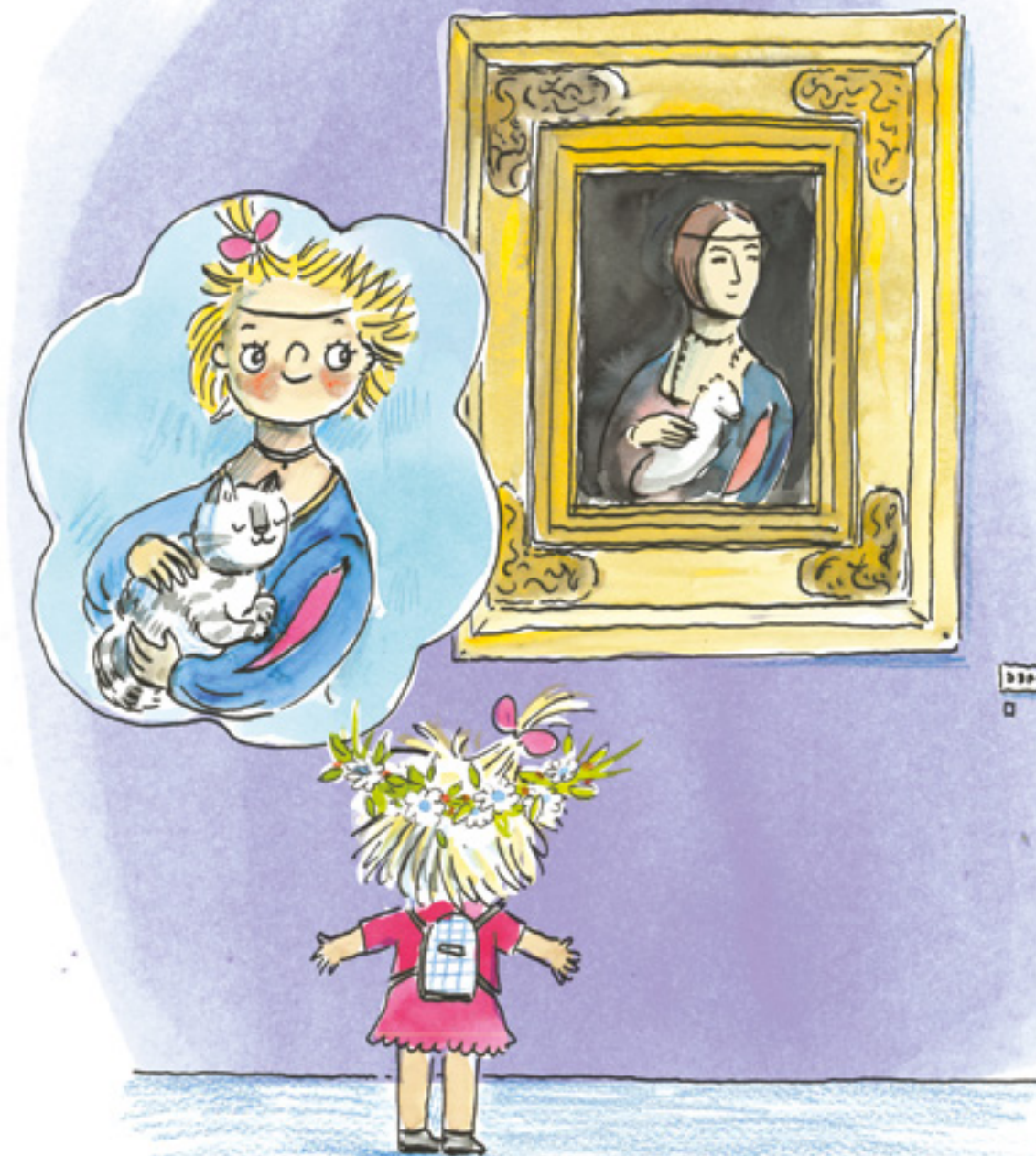
– Lepiej bym tego nie ujęła – chwali Gadalka.

– Ale heca! – Tyla klepie się z rozmachem w kolana. – Niektóre mają całkiem odjechane kolory.

– Proszę? – pyta ciocia.

Reprodukcja

– kopia oryginału.
Może być
w formie zdjęcia
lub wydruku.



– Patrz, ciotko, tu dama ma jasnoniebieską sukienkę, tutaj granatową. A tutaj taką bardziej zieloną – zaśmiewa się Tyla.

– A tutaj pani dama ma buzię białą jak z papieru, a tu jest różowiotka jak świnka – woła Róża, zamaszyście przy tym gestykulując. – A tu gronostaj jest szary, a tam, tam po prawej, taki bardziej żółtawy.

– Ciociu, co mamy zrobić? – pytam.

– Odnaleźć reprodukcję najbardziej podobną do oryginału.

– Będą pszczoły? – rzuca Róża, biegając od jednego wydruku do drugiego. – Będą podpowiadać?

– Nie, Różanko – śmieje się ciocia.



Chodzimy, oglądamy. Nie wiem, jak długo. W końcu cała nasza trójka staje przed tą samą reprodukcją.

– Ta pani dama jest najbardziej podobna do tej pani z prawdziwego obrazu – oświadcza Róża. – Prawda, Tyla, prawda, Szczeppek? – apeluje do nas.

– Jak najbardziej – przytakujemy.

– Bravo! Bravo! – woła Gadałka. – Dobry wybór. Muzeum, korzystając z funduszy europejskich przeznaczonych na projekt, zakupiło najnowocześniejszą drukarkę, która pozwala drukować w tak dobrej jakości, że do złudzenia przypomina oryginał. A każdy wydruk otrzymuje swój kolejny numer.

– Czemu inne mają nieprawdziwe kolory? – dopytuje Róża. Teraz stoi przed bladolicą damą z białym zwierzątkiem.

– Bo wydrukowano je na drukarkach gorszej jakości. Ta używana przez muzeum jest w grupie najlepszych drukarek na świecie – odpowiada Gadałka.

Róża rozsyła całusy każdej z dam. Przypada do cioci i zaczyna ją tarmosić za rękę.

– Co tam, Różanko?

– Chodźmy już do smoka, co?



Projekt zakłada **digitalizację** dzieł, czyli stworzenie ich w wersji cyfrowej.

ROZDZIAŁ 3

Łódka, kolejka i lizanie ściany



To jeden z najważniejszych i największych projektów realizowanych w Muzeum Narodowym w Krakowie. Polegał na całkowitej przebudowie zabytkowego pałacu Czartoryskich. Powstało nowoczesne muzeum, w którym można zobaczyć ponad osiemdziesiąt tysięcy dzieł sztuki. Tymi wymagającymi naprawy zajęli się konserwatorzy i konserwatorzki. Muzeum otworzono w pięćsetną rocznicę śmierci słynnego Leonarda da Vinci.

ciekawostką

Obraz „Portret damy z gronostajem” przez długi czas nosił tytuł „Dama z łasiczką”.



W niektórych miejscach korytarz jest niewiele szerszy niż drewniana łódka, którą płyniemy. Z nami są jeszcze dwie rodziny. I dwóch **flisaków**. Jeden, chudy niczym szczypiorek, stoi na przedzie. Drugi, z długą brodą – na tyle łodzi. Każdy z nich trzyma wiosło. Mamy na głowach ochronne kaski. Przydają się też ciepłe ubrania i kryte buty, które ciocia poleciła zabrać.

– Trudno uwierzyć, że jesteśmy pod ziemią – wzdycha w zachwycie Tylka. Tak samo mówiła, gdy wysiedliśmy z windy górniczej, którą tu zjechaliśmy, gdy przechodziliśmy wąskimi korytarzami, gdy pokonywaliśmy schody. Ponieważ jest ich około siedmiuset, a Róża narzekała, że bolą

Flisacy

– w dawnej Polsce spławiali rzekami towary do portów morskich.

ją nogi, ciocia niejednokrotnie korzystała z pierścionka i tak sobie hycaliśmy.

– A wcześniej jechaliśmy kolejką pod ziemią – cieszy się moja siostra. – Ściany z soli, wszystko z soli – powtarza już chyba setny raz.

Nadal ma zdziwienie wymalowane na twarzy. Jakiś czas temu próbowała polizać jedną ze ścian. Bo jesteśmy w kopalni soli w Bochni.

Byłem tu kiedyś na „zielonej szkole”. Takiej najprawdziwszej. Z nocowaniem. Pani mówiła, że śpimy dwieście pięćdziesiąt metrów pod ziemią, że panuje tu niezwykły mikroklimat, ale nam dzieciom najbardziej podobało się boisko, miniplac zabaw, stół do ping-ponga, wieczorna dyskoteka i długaśna, licząca ponad sto metrów zjeżdżalnia łącząca dwa poziomy w kopalni oraz bar, w którym można było kupić pizzę.

– Proszę, oto mamy jedyną taką atrakcję na świecie. Trasa podziemnej przeprawy łodzią ma sto dwadzieścia metrów – odzywa się brodaty flisak.

– A łódź, w której teraz siedzimy, jest zarejestrowana tak samo jak statki pływające po morzu – dodaje chudy.

– Szkoda, że nie ma z nami Gadałki, na pewno by coś powiedziała ciekawego – zauważa szeptem Róża.

Bo Gadałka dziś została w domu. Stwierdziła rano, że się słabo czuje i musi sobie zrobić jednodniowy urlop. Pankot został z nią dla towarzystwa.

– Ale ona wyzdrowieje?

– Na pewno – odpowiada stanowczo ciocia.



– Kopalnia powstała w XIII wieku – mówi chudy. – Teraz pełni tylko funkcję turystyczną. Jest też trasa przyrodnicza i historyczna. Planowana jest kolejna. Oparta na tutejszych legendach, przedstawiająca historię kopalni oraz pokazująca, jak niebezpieczna była praca dawnych górników...

Tyla odchyła głowę do tyłu i zamyka oczy.

– Elo, kuzynko, coś się dzieje? – pytam szeptem. – Masz chorobę morską?

– Szczepczku, Szczepczku... – Otwiera oczy i mruga do mnie. – Legendę sobie przypomniałam.

– Tak? Jaka? Jaka? – podchwytuje Róża.

– Zaraz powiem, teraz wysiadamy.

Już zeszliśmy z łodzi, stoimy w korytarzu. Wokół nas drewniane zabezpieczenia.

– Co z tą legendą? – nie może się doczekać Róża. – Mów, mów! – Tarmosi Tylę za rękę.

– Była węgierska królowna Kinga i był polski książę Bolesław Wstydlivy. Mieli się pobrać. Królowna musiała mieć posag...

– Czyli? – pyta Róża.

– Swój majątek – tłumaczy Tyla. – I królowna nie chciała złota ani kosztowności, tylko kopalnię soli. Król tata się zgodził i dał ją córce.

– Gdzie? – pytam, bo się zgubiłem.

– Jak gdzie? Na Węgrzech. To węgierska królowna była. Słuchaj uchem, a nie brzuchem. – Tyla uśmiecha się

słodko do mnie. – Kinga wrzuciła do kopalni swój zaręczynowy pierścionek.

– Po co? – Róża szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

– Na znak, że należy do niej – tłumaczy Tyla. – Przyjechała do Polski, któregoś dnia odwiedziła Bochnię. Górnicy wydobyli pierwszą bryłę soli... Rozłupali ją i co tam znaleźli?

– Ten pierścionek? – pyta zdumiona Róża. – Ten zaręczynowy? Ale fajnie – cieszy się. – Ciekawe, czy Gadałka zna tę legendę. Dziwnie tak zwiedzać bez niej. Kupimy jej i Panukotowi jakieś pamiątki. Przecież jest tu sklep – proponuje i uśmiecha się szeroko. – A mnie można kupić lampkę solną. Zawsze taka mi się marzyła. Będzie super wyglądać w moim pokoju. Od-re-stau-ro-wa-nym – sylabizuje.



ROZDZIAŁ

Kamienie zwykłe i niezwykłe

Od rana jesteśmy nad rzeką. Tama jest już całkiem spora, nic dziwnego, męczymy się z jej budową od dobrych paru godzin. Jedną już postawiliśmy, ale Tylka poślizgnęła się, był wielki chlupot i nie było już tamy. Na szczęście kuzynce nic się nie stało.

– Mnie jest zimno – szczęka zębami Róża. – Wychodzę. Idę do cioci.

– Szczeppek, zróbmy przerwę – proponuje Tyla.

– Okej.

Urządujemy na wielkim kocu. Jemy kanapki, chrupiemy jabłka. Pyszny jest kompot jabłkowy. Róża i Tyla przytargały kamienie z brzegu i teraz je oglądają. Ja wpatruję się w rzekę.

– Ten wezmę na pamiątkę. – Na wyciągniętej dłoni Tyli spoczywa srebrzysty kamyk. – Ja je lubię i zbieram. Mam już dwa pełne słoiki.

– Iii – piszczy Róża. – Też będę zbierać. Mnie się ten podoba. – Ze stosiku wyławia jasny, poprzecinany srebrzystym kwarcem.

– Mam sporo wiadomości geologicznych – terkocze Gadałka. Leży na kocu, koło naszych ubrań, obok śpi Pankot.

Głównym celem projektu jest stworzenie nowych i nowoczesnych ścieżek zwiedzania dla turystów, a przede wszystkim dla dzieci. Obrazowane miejscowymi legendami trasy mają przebiegać m.in. przez nieczynne od XVIII wieku historyczne wyrobiska, czyli podziemne przestrzenie powstałe w trakcie prac górniczych. Odwiedzający będą mogli poznać niebezpieczeństwa czyhające na górników pod ziemią.

ciekawostka

W dawnej Polsce kopalnie soli nazywano żupami solnymi.



Ciocia odkłada książkę, którą czytała, i patrzy na nas z uwagą.

– Co tam, ciotko? – puszcza do niej oko Tyla.

– Tak sobie myślę, że jest takie miejsce, które idealnie współgra z waszymi zainteresowaniami.

– A uda się tam dotrzeć? A jeśli mapa go nie wybierze? A gdzie to? – zasypujemy ciocię pytaniami.

– Pogadam z mapą, może mnie posłucha. – Ciocia wstaje i przeciąga się. – Idziemy puszczać kaczki? Kto najdalej.

– Ja nie umiem – martwi się Róża.

– Chodź, nauczę cię. Jestem w tym naprawdę dobra – mówi ciocia i ruszamy na brzeg.



Jesteśmy w rezerwacie Krzemionki Opatowskie koło Ostrowca Świętokrzyskiego. Teraz mamy zajęcia w podgrupach. Róża utknęła przy warsztacie garncarskim i próbuje wytoczyć wazon. „Będzie stał w dużym pokoju”, oświadczyła, a potem pogłaskała mnie rękami ubrudzonymi gliną. Ciocia siedzi na pobliskiej ławce. Jednym okiem zerka na Różankę, drugim na swoje notatki.

Tyla i ja spacerujemy. To rekonstrukcja osady z czasów ludzi epoki kamienia. Można zobaczyć, jak żyli nasi przodkowie. Drewniana palisada, rów obronny na zewnątrz, wewnątrz chaty i szałaszy kryte skórą.



– Szczepiek, jakiś taki odklejony jesteś od rzeczywistości. – Tyla patrzy na mnie badawczo. – Coś się dzieje?

– Nie – uśmiecham się uspokajająco. – Trudno mi ciągle uwierzyć, że przed chwilą byliśmy w prahistorycznej kopalni. Najpierw wydobywano krzemień w takich jakby...

– Jamach – odpowiada Tylka.

– Właśnie, a potem już były bardziej skomplikowane kopalnie. Widziałaś te korytarze? – Zapalam się.

– Nie wiem, czy wiecie – skrzeczy Gadałka – że pasiasty krzemień uważa się za najładniejszą odmianę krzemienia i co najważniejsze występuje on tylko i wyłącznie w tym miejscu – terkocze.

– Jak to? – pytam.

– Jedyne miejsce na całym świecie – cieszy się. – Robiono z niego narzędzia, takie jak noże, ostrza, groty do strzał, siekierki oraz amulety.

– Mnie trudniej uwierzyć, że tu, gdzie teraz jesteśmy, kiedyś było morze – mówi powoli Tylka.

Podnosi jedną nogę, pochyla się do przodu i udaje, że pływa żabką. Przybiega Róża. Przyłączam się do wyglupów, a Gadałka nas upomina. Ponieważ nie reagujemy, zaczyna oburzona fukać. Pierwsza uspokaja się Tyla. Szturcha mnie łokciem pod żebra i szepcze:

– Musimy ją teraz zasypać pytaniami, bo inaczej się obrazi. Gadałko, przemądra ty nasza, a co nam możesz powiedzieć o kopalni?



– Kopalnia dotrwała do naszych czasów w prawie niezmienionym stanie. Trasa turystyczna ma około półtora kilometra, a część podziemna to mniej więcej pięćset metrów. To unikat na skalę światową. A wiecie, że na samym początku zwiedzanie było mocno utrudnione? Zwiedzało się albo na czworakach, albo czołgając się.

– No, zwiedzanie dla wytrwałych, poziom trudności: wersja maks – mruczy Tyła.

– A wiecie, jak ją odkryto? – pyta Gadałka. Chyba już się nie gniewa.

– Ktoś szedł, na przykład szukał grzybów, i nagle wpadł do niej – odpowiada szybko Róża. – Nic mu się nie stało, na szczęście – wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Było zupełnie inaczej – terkocze Gadałka. – Geolog Jan Samsonowicz...

– Geolog to kto? – przerywa Róża.

– Ktoś, kto bada budowę ziemi – wyjaśnia Gadałka.

– Aha. I co ten pan geolog? – pyta Różanka.

– Badał tutejsze tereny. I pewnego razu, w roku 1922, mieszkańcy pokazali mu podziemne lochy, z których wydobywali kamienie potrzebne do budowy. W tych norach znajdowali też narzędzia zrobione z rogów jeleni i z kamienia...

Uśmiecham się pod nosem. Wydobywano kamień, nie mając pojęcia, że te dziury w ziemi to fragmenty starych kopalń.

– Elo, kuzynko, a ty dokąd? – Z rozmyślań wyrzywa mnie głos Tyli. – Dokąd pędzisz? – pyta Różę.

– Do cici, muszę o coś spytać. Aha, wazon mi nie wyszedł – rzuca w biegu. Jest z powrotem dosłownie po chwili.

– Ciocia mówi, że pomału się zbieramy. Hycamy do jej koleżanki, która mieszka w Sandomierzu. Będą pierogi. Aha i ciocia kupi nam pamiątki z krzemienia. Ja chcę bransoletkę.

– Mnie się zawsze marzył breloczek – podrywa się Gadałka.

Projekt realizowany jest w zespole prehistorycznych kopalń krzemienia pasiastego zwanych Krzemionkami Opatowskimi. Dotyczy przeprowadzenia prac konserwacyjnych i remontowych w unikatowej na skalę światową podziemnej trasie turystycznej. Z myślą o osobach z niepełnosprawnością ruchu zamontowana zostanie winda do podziemnej części trasy.

ciekawostką

Tak wygląda logo Krzemionek Opatowskich.



To symbol bogini Matki Ziemi, która według dawnych wierzeń miała zapewniać bezpieczeństwo górnikom. Rysunek znaleziono na jednej ze ścian kopalni.



ROZDZIAŁ 10

Zakalec, pierniki i mały Mikołaj

Za oknem pada i wieje, a Tyla i ja szalejemy w kuchni. Plan jest prosty. Pieczemy ciasto. Zrobiliśmy je z przepisu, który znaleźliśmy w Internecie. Teraz ono siedzi w piecu, a my sprzątamy.

– Ładnie pachnie. – Do kuchni wpada Róża i pociąga nosem. Na głowie ma kucyki, na ręce bransoletki od Tyli i te z krzemienia. Wczoraj dzwoniła do mamy i pytała, czy możemy przyjechać do cioci na ferie.

– Ładnie – odzywam się znad zlewu, w którym poutykane są brudne naczynia. Jak na złość padła zmywarka. Znajomy cioci, pan Leszek, okoliczna złota rączka, przyjdzie jutro ją reanimować.

– Mnie się wydaje, że pieczemy przecudny zakalec – mruczy Tylka. – Zaglądałam przed chwilą do piekarnika i mam wrażenie, że ciasto nie chce współpracować. Różyczka, a ty dokąd pędzisz?

– Do Panakota. On mi opowiada różne historie, a ja je rysuję. Zawołacie mnie, jak ciasto będzie już gotowe, prawda? – odpowiada w biegu i już jej nie ma.

– Tak w ogóle, to ja chyba najbardziej lubię pierniki. Mama pyszne piecze – rozmarzam się.

– Ja tam jestem wierna sernikom – uśmiecha się Tyla.

– Nie przepadam za ciastami – oświadcza Gadałka, która nagle pojawia się w kuchni. – Czy wiecie, że nazwa „piernik” pochodzi od staropolskiego słowa „pierny”, co znaczy pieprzny?

– Teraz już wiemy – mówi uprzejmie Tylka. – O nie, Szczepiek, patrz. – Macha rękami w kierunku stołu, na którym stoją produkty, które wykorzystaliśmy do pieczenia. – Coś mi się wydaje, że zamiast cukru, wzięliśmy sól...

W kuchni pojawia się ciocia Luska. Pomarańczowa niczym dorodna marchewka.

– Co za miny? – Patrzy na nas uważnie.



– Już wiemy, że nam ciasto nie wyjdzie. – Tyla się krzywi... Zrobiliśmy słony zakalec.

– Ja kiedyś posłodziłam bigos, zamiast go posolić – śmieje się ciocia. – Każdemu może się zdarzyć. Już, już, koniec z tymi ponurymi minami... Mam pomysł. Bardzo smaczny. Dacie radę być gotowi do hycania za pół godziny?

– My tak, ale czy Róża? – pyta Tyla.

– Zaraz z nią porozmawiam.

Ciocia wychodzi, a Tyla i ja zaczynamy do siebie znacząco mrugać.

– Elo, kuzynie, zakładamy się? – szepcze Tyla. – Obstawiam, że przed nami wizyta w fabryce czekolady.

– W cukierni, kuzynko, i ja wygram.

– O co się zakładamy?

– O prawdę – odpowiadam z powagą, a Tyla się zgadza.

Podajemy sobie prawe dłonie, a potem ona przecina to nasze splecenie lewą dłonią.



Stoimy wokół ogromnego stołu. Przed każdym z nas leży stolnica i wałek. Stoją gliniane kubeczki, z których wystają drewniane noże.

– Jaki wspaniały zapach! Najpiękniejszy! – woła Gadałka, która fruwa nad nami. Jest w wyjątkowo dobrym humorze. – Mniem, mniem.

– Mówiłaś w domu, że nie przepadasz za ciastkami – przypomina Tyla.

– Jeść nie lubię, wąchać mogę dniami i nocami – odpowiada Gadałka.

– A tak w ogóle, to ja nic nie czuję. – Tyla marszczy nos i zaczyna tak oddychać, jakby miała katar. – Szczepiek, czujesz coś?

– Czy ja wiem? Trochę, ale chyba jednak nie. – Rozkładam bezradnie ręce, a Gadałka zaczyna fukać.

– Oj, Gadałko, nie słuchaj tego – woła Róża. – Nie znasz ich? Wyglupiają się. – Moja siostra patrzy na nas z wyrzutem. – Chodź, Gadałeczko, do mnie, razem sobie upieczemy piernik. Powiedz, co tak pachnie?





– To piernikowe przyprawy: kardamon, anyż, goździki, imbir, gałka muskatołowa, cynamon. Aha i pieprz – odpowiada Gadałka, ale wyraźnie zwraca się tylko do Róży i cioci.

– Jak to pieprz? – Zastygam w bezruchu. – Ten taki ostry?

– Jak najbardziej! – odpowiada oschłym tonem Gadałka. – Kto by przypuszczał, prawda?

– Kuzynko, nikt z nas nie wygrał, nikt nie przegrał. – Odwracam się do Tyli.

– Jeszcze się zdążymy założyć, jeszcze wygram, kuzynie – odpowiada.

– Kochani, może zaczniecie już piec – przypomina ciocia. – W końcu po to tu jesteśmy.

Bo my jesteśmy w Toruniu, w Muzeum Toruńskiego Piernika. Najpierw chodziliśmy po starówce.

Róża się nakręciła, że skoro to miasto **Mikołaja Kopernika**, a ciocia ma magiczny pierścień, mogłaby nas przenieść w czasie. „Ciociu, ciociu, poznamy Kopernika”. „Ciociu, ciociu, ja chcę zobaczyć Kopernika”, prosiła i robiła błagalne miny. Ciocia okazała się nieugięta. Oświadczyła, że podróże w czasie nie wchodzą w grę, i zabrała nas do domu astronoma.

Fajnie było przebywać w pomieszczeniach, które kiedyś należały do rodziny Koperników. Wyobrażać sobie, że po tych samych korytarzach czy schodach, którymi chodziliśmy, biegał mały Mikołaj i trójka jego rodzeństwa: Andrzej, Katarzyna i Barbara. Kroczył tata, też Mikołaj, zawsze zamyślony, bo sprawy zawodowe angażowały go od rana do nocy. Tata był kupcem. Kroczyła mama, pani Barbara, która zarządzała całym domem. Przy każdym ruchu podzwaniały klucze przytroczone do jej pasa.

Fajnie sobie wyobrażać, że dzieci bawiły się tutaj w chowanego, że przez okno obserwowały ulice, że przez któreś z okien mały Mikołaj wpatrywał się w niebo. I kiedy tak robił, zapominał o całym świecie.

Z zamyślenia wytrąca mnie szturchnięcie. To Tyła.

– Elo, kuzyn, może wróc do nas, co? – proponuje. – Jakoś o całym świecie zapomniałeś.

Mikołaj Kopernik

– najwybitniejszy polski astronom, znany na całym świecie. Żył na przełomie XV i XVI wieku.

Napisał *O obrotach sfer niebieskich*.

W dziele tym przedstawił model Układu Słonecznego, w którym Ziemia krąży wokół Słońca (teoria heliocentryczna), a nie – jak ówczesnie sądzono – Słońce wokół Ziemi.



Przede mną leży kulka brązowego ciasta. To ciasto piernikowe. Mam je wyrobić. Uklepuję, gniotę. Przypomina mi to zabawy plastelinowe w przedszkolu.

– Teraz proszę wybrać foremkę do piernika i dokładnie wysmarować ją olejem – poleca ciocia. Też wyrabia ciasto, ale jej ruchy są pełne gracji i spokoju, nie to co u mnie czy Tyli. A Róża idzie wyjątkowo dobrze.

Drewniane foremki są różne. Duże i małe. Róża i Gadałka wybierają serce, Tyla podkowę, ciocia konia z karocą, a ja koguta. Umieszczamy ciasta w foremkach, rozwałkowujemy je z wierzchu, wyjmujemy ciasto z formy, odcinamy drewnianymi nożykami te kawałki ciasta, których jest za dużo.

– Pamiętam zabawy w piaskownicy. Miałam całe wiaderko foremek. Najładniejsza była w kształcie kotka – odzywa się naraz Tyla. – Tylko tak ładnie nie pachniało – rzuca w stronę Gadałki.

– Rzeczywiście pachnie nieziemsko – dorzucam.

Gadałka sprawia wrażenie zadowolonej.

– Teraz ciasto powędruje do pieca – terkocze. – A was zapraszam na krótką wycieczkę. Muzeum mieści się w dawnej fabryce pierników.



Są tu oryginalne piece i maszyny wykorzystywane do wypiekania pierników... Czy wy mnie w ogóle słuchacie?

– Gadałeczko, ja jestem bardzo ciekawa, jak smakują te nasze pierniki – mówi Tyla i ma taką minę, że Gadałka nie obraża się, tylko zaczyna się śmiać.

– Poczekamy na te wasze wypieki, a potem przejdziemy się po muzeum. Po drodze zajrzemy też do tutejszego sklepu, kupimy trochę pierników do domu – proponuje ciocia, a my ze szczególną radością przyjmujemy ostatnią informację.



Ten ogromny projekt jest realizowany w trzynastu zabytkowych obiektach na starówce w Toruniu. Dzięki niemu na dachu rodzinnego domu Mikołaja Kopernika można oglądać pokaz rozgwieżdżonego nieba, a w Muzeum Toruńskiego Piernika posłuchać wyjątkowych baśni i opowieści związanych z wyrobem tych smakołyków.

ciekawostką

Jeden z kraterów księżycowych nazywa się „Kopernik”. Tę nazwę nosi też jeden z kraterów na Marsie.



ROZDZIAŁ 1

Magia na całego

Stoimy na trawniku obok domu.

– Ptysie wy moje, chcę wam coś pokazać. Z góry. Niczego się nie bójcie, dobrze? Ruszamy. Choć to nie najlepsze słowo.

– Będziemy latać? – pytam w przebłysku geniuszu.

– Tak – odpowiada ciocia, a my zaczynamy pisać, tupać i wydawać dziwne dźwięki. Wszystko z radości.

– Kochani, żadnych szaleństw, macie się trzymać blisko mnie, zrozumiano? – Przekręca pierścionek. Znowu znajomy zapach, znajome światło.

Myślałem, że poćwiczymy jakieś salta, beczki, że będą zawody. Kto szybciej, kto dalej. Nic z tego, to raczej taki „żłobek” latania. Nisko, powoli, tylko koło cioci. A wokół nas Gadałka. Terkocze, ale jakimś takim zatroskanym głosem: „Różo, nie tak wysoko, nie tak wysoko”. „Tyla, a gdzie ty się wybierasz”? „Szczeppek, wolniej, wolniej”.

– Szczeppek, jest super, co? – Tyla do mnie podfruwa, a ja przytakuję, bo nawet ten żłobek jest niezwykły.



Mniej więcej od pół godziny fruujemy nad ogrodami. Ale jakimi! Nie takimi z drzewami owocowymi, rządkami truskawek czy ogórków, tylko nad ogrodami obok Zamku Królewskiego w Warszawie. Zieleń trawników poprzecinana białymi alejkami. Przystrzyżone bukszpany, przycięte drzewa, kolorowe rabaty kwiatowe. Fontanny. Wygląda to jak z bajki.

Alejkami spacerują ludzie, jedzie dziewczyna na hulajnodze, potem dwóch chłopaków na rowerach. Po trawnikach biegają maluchy.

– Z jednej strony Zamek Królewski, z drugiej Wisła i Wisłostrada z samochodami – mruczę do siebie.

– To Ogrody Dolne. Odtworzone na podstawie projektów z XX wieku – tłumaczy Gadałka. – Powyżej Ogrody Górne. A ta budowla, która łączy jeden poziom z drugim, to Arkady Kubickiego.

– Mogłabym tak patrzeć i patrzeć – mówi Tyla.

– Tutaj na pewno spacerowały królowny – wzdycha Róża. – I nie tylko – dodaje niejasno.

– Pewno masz rację – mówi Gadałka. – Ogrody należą do Zamku Królewskiego, były jego dopełnieniem, a przecież

Zamek Królewski w Warszawie to dawna rezydencja królów i władców polskich. Mieszkały tu też głowy państwa.

– My też mamy ogród! – woła Róża. – Raczej ogródek – dodaje smętnie. – Mama mówi, że on jest... Szczeppek? Jak to mama mówi?

– Że jest przedłużeniem domu.

– I tak jest! – zgadza się Gadałka. – Królewskie ogrody służyły spacerom, przebywaniu na świeżym powietrzu. Można w nich było urządzać przedstawienia, organizować ucztę i przyjęcia, puszczać sztuczne ognie.

W Polsce znajdują się cztery rezydencje królewskie: Wawel, Wilanów, Zamek Królewski w Warszawie i Łazienki.



– Lądujemy – poleca ciocia i zeskakujemy na trawę.
– Mam taki plan. Teraz niespodzianka, a kiedy zacznie się ściemniać, coś wam jeszcze pokażę – proponuje i przekręca pierścionek. Jest niebieski, krótki błysk i przed nami pojawia się ogromna drewniana skrzynia. Uchyła się wieko i wyskakują suknie, peruki, spodnie, buty, jakieś dziwne marynarki. Fruwają rękawiczki, wachlarze, kamizelki, krawaty. – Jeśli macie ochotę, możecie się poprzebierać. – Ciocia nakłada na głowę różowawą perukę wysoką pod niebo.



Róża dopadła niebieską sukienkę i coś jakby welon. Po chwili odrzuca go i zakłada męski kapelusz. Ja przymierzam marynarkę w kolorze dojrzałej cytryny. Tyla owija się fioletowym szalem, długim jak sama Wisła.



– Pysie, zostawiamy na razie stroje i hop do góry!
– woła ciocia. Jedną ręką podtrzymuje perukę. Na moment ją puszcza i przekręca pierścionek.

Unosimy się. Ogród pod nami rozświetla się. Oświetlone są również fontanny.

– O, jak cudnie – wzdycha Tyla.

– Szczepek, powiemy rodzicom, żeby takie zrobili w naszym ogrodzie, co ty na to? Choć jedną, co? – prosi Róża.



To miejsce jeszcze pod koniec XVIII wieku było podmokłą łąką. W latach 30. XX wieku Ogrody Dolne zaczęły pięknieć, ale wybuchła II wojna światowa. Podobnie jak starówka i Zamek Królewski uległy w tamtym czasie zniszczeniu. Projekt unijny polegał na ponownym stworzeniu Ogrodów Dolnych. Tym samym zakończyła się pełna odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie.

ciekawostką

Aha, pewnie nie wiecie, że wśród tych drzew rosnących w Dolnych Ogrodach są takie, które zostały zasadzone jeszcze przed II wojną światową. Uchowaty się i teraz rosną razem z innymi.



ZAKOŃCZENIE

Wyglądam przez okno w swoim pokoju. Biało wszędzie. Pada od paru dni. W naszym ogrodzie mieszka Pan Bałwan. Zrobiliśmy go wczoraj. Ma na głowie garnek, a nos z pomarańczowej kredki, bo akurat marchewki nie było.

Na biurku leży kawałek krzemienia pasiastego, na rękę mam bransoletkę od Tyli. W pokoju Róży dzień i noc świeci lampka solna.

Szkoła, korki z angielskiego, koszykówka. Dużo tych zajęć. Codziennosc. Wakacje wydają się bardzo odległe. Kiedy myślę o pobycie u cioci, chwilami mam wrażenie, że to mi się śniło. I, szczerze mówiąc, więcej o nich myślę niż o tygodniowym pobycie w Chorwacji, bo w końcu pojechaliśmy do Mirny i Vedrana.

Tylka i ja utrzymujemy kontakt. Lubię z nią rozmawiać. Przyjedzie do nas na pierwszy tydzień ferii, potem my do niej.

Ciocia Lusia ostatnio przysłała Róży i mnie kartkę. Z Kapsztadu. Pozdrawia i całuje. Ona i Pankot. I dopisała, że gdybyśmy chcieli kiedyś pohycać, pogadałkować, popierścionkować, to zaprasza z całego serca.



1 Stwórz własny wisior z Krzemieniem pasiastym.

Potrzebne będą:

- modelina
- słomka
- sznurek lub rzemyk



1. Wyrób dwa wałki z modeliny w różnych odcieniach szarości, dodaj do każdego odcienia odrobinę żółtego koloru.

2. Każdy wałek podziel na trzy części. Pięć z nich rozplaszcz, by powstały placki.

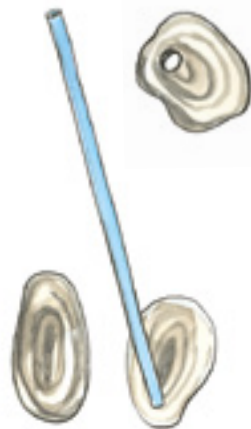
3. Z jednej części zamiast placka zrób wałeczek i wokół niego owijaj raz ciemny raz jasny placek.



4. Odcinaj nożem kawałki modeliny.



5. Następnie rozplaszcz każdy z nich palcami.



6. Słomką zrób dziurki w wisiorach.

7. Włóż powstałe kamyczki do piekarnika rozgrzanego do 180°C na 15 minut.

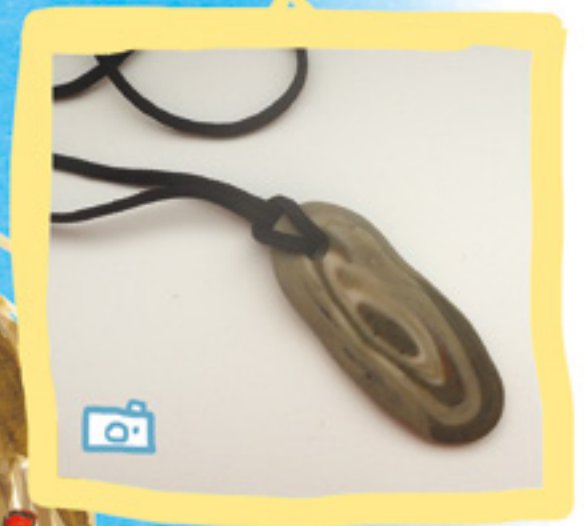


8. Po wystudzeniu zawieś na sznurku lub rzemyku.



Gotowe!

Możesz też użyć innych kolorów!



↑ PRACA TYLI

2

Przyjrzyj się rysunkom strojów poniżej.



strój łowicki damski



strój krakowski męski

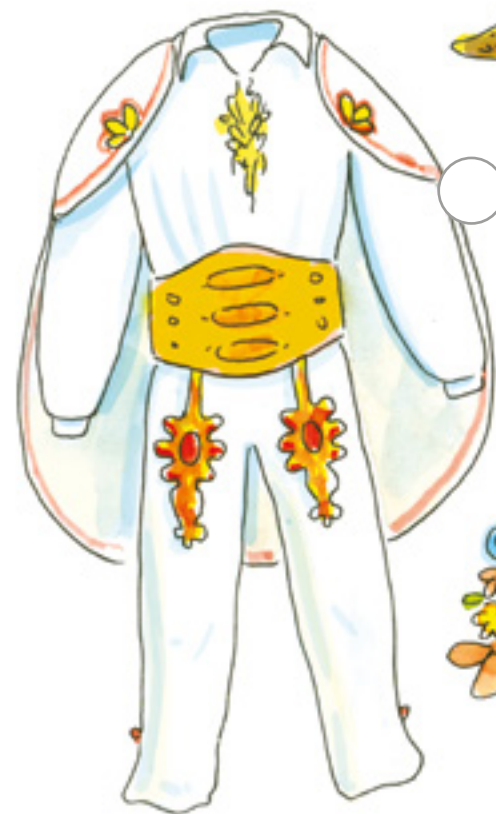


strój krakowski damski



strój góralski męski

Dopasuj do siebie poszczególne części stroju ludowego.
Zamaluj okręgi odpowiednimi kolorami.



3

Wyhoduj w domu kryształ soli, tak jak zrobił to Szczepiek. Poproś dorosłą osobę, by pomogła ci w gotowaniu i przelewaniu wody.

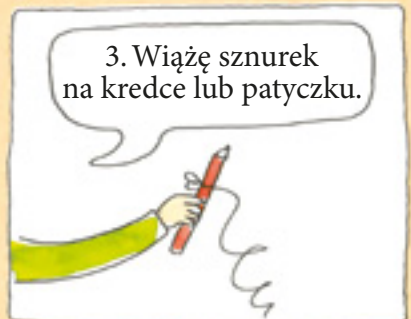
Potrzebne będą: ● pół szklanki wody ● ćwierć szklanki soli ● słoik ● nitka ● kredka



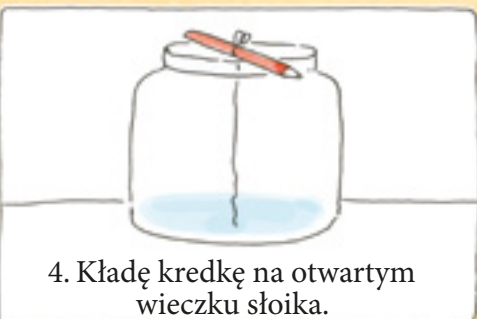
1. Rozpuszczam w gorącej wodzie sól.



2. Przelewam wszystko do dużego słoika.



3. Wiążę sznurek na kredce lub patyczku.



4. Kładę kredkę na otwartym wieczku słoika.



5. Teraz czekam cierpliwie ponad tydzień!



6. Ojej! Ale piękne kryształy! Zanurzymy je jeszcze raz?

4

Przeprowadź renowację starych trampek.

Potrzebne będą:

● szczoteczka do zębów

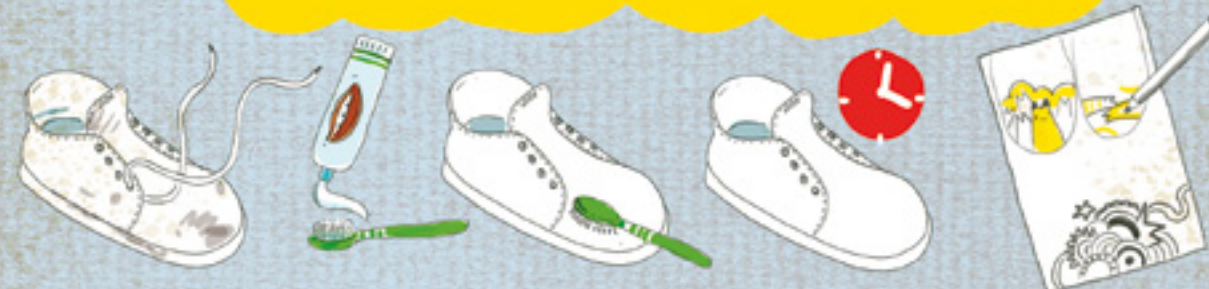
● papier, ołówek

● białe trampki

● nowe żółte sznurówki

● biała pasta do zębów

● czarny i żółty marker do tkanin



1. Wyciągnij sznurówki i lekko namocz buty.

2. Nałóż pastę do zębów na szczoteczkę i wyczyść materiał oraz podeszwy.

3. Poczekaj, aż buty wyschną. Aby przyspieszyć schnięcie, użyj suszarki do włosów.

4. Zaprojektuj wzory na kartce.

5. Odrysuj wzory na suchych trampkach.

6. Zawiąż sznurówki i gotowe!



5

Współczesny artysta poprzestawiał
elementy dzieła Canaletta.
Znajdź 8 szczegółów, którymi różnią się
dwa obrazy.



Kocham malować
Warszawę!



MP 228; Bellotto, Bernardo (1722-1780) (malarz); Polska; Widok Warszawy z tarasu Zamku Królewskiego; 1773;
olej; płótno; 166 x 269 [186 x 288 x 8]; © Copyright by Wilczyński Krzysztof/Muzeum Narodowe w Warszawie



Jeszcze dwa kliknięcia i gotowe!
Mam nadzieję, że Canaletto się
nie obrazi.



6

Upiecz pierniki.

Składniki:

- 2 duże jajka
- 100 g cukru pudru
- 1 łyżka przyprawy do piernika*
- 100 g miodu
- 1 łyżeczka sody oczyszczonej
- 100 g masła, roztopionego i lekko przestudzonego
- 1 łyżka kakao
- ok. 400 g mąki pszennej (można dodać też trochę żytniej)

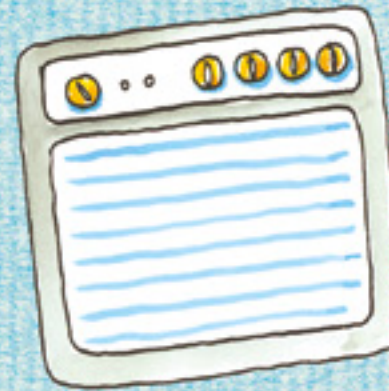
1. Jajka rozbić i utrzeć z cukrem. Dodać podgrzany miód.

2. Mieszając lub miksując, dodać resztę składników (mąkę, sodę, przyprawę do piernika, kakao i masło).

3. Ciasto pozostawić w chłodnym miejscu przynajmniej na 24 godziny (najlepiej na tydzień). Po leżakowaniu rozwałkować je na placek grubości mniej więcej na pół centymetra.

4. Używając ulubionych foremek, wycinać kształty z ciasta.

Przepis pochodzi ze zbiorów Muzeum Toruńskiego Piernika w Toruniu – ul. Strumykowa 4 w Toruniu, oddziału Muzeum Okręgowego w Toruniu.



Pierniki piec w temperaturze 180°C przez 10–12 minut (długość pieczenia zależy od grubości i wielkości piernika).

Pierniki mogą twardnieć. Jeśli tak się stanie, schowaj je do puszki z kawałkami jabłek.



PRZYPRAWA DO PIERNIKA

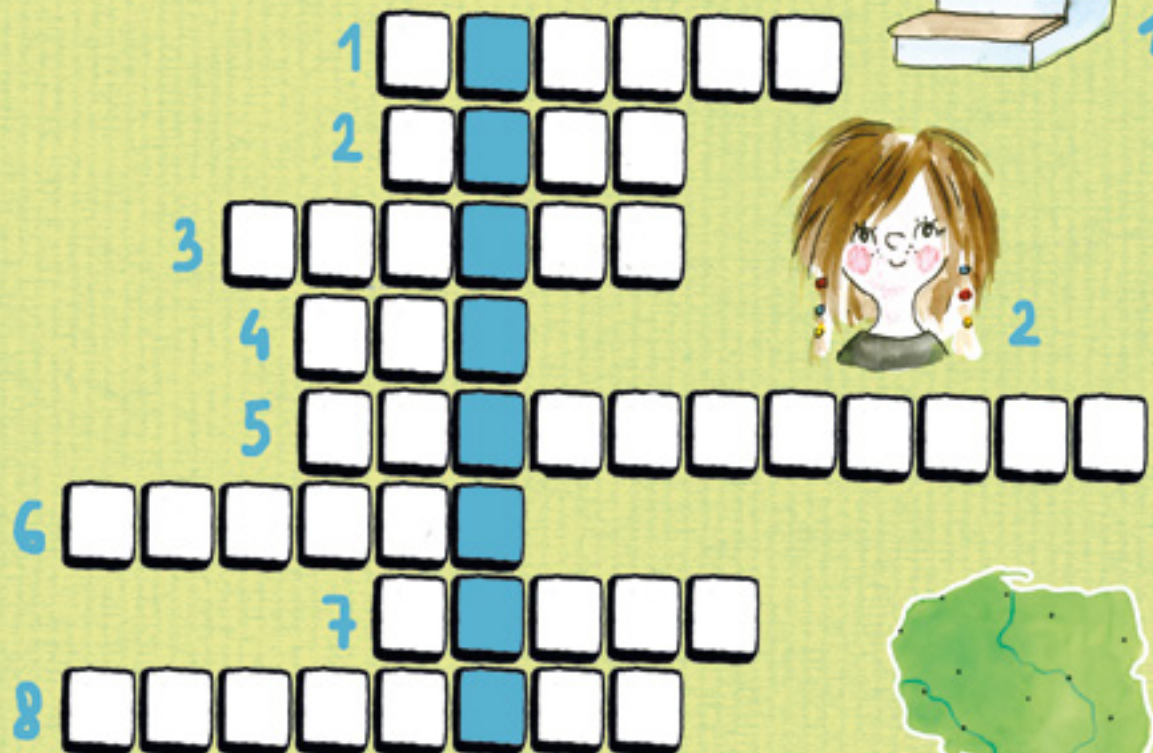
Przyprawy, np. imbir, cynamon, goździki, anyż, kardamon, utłuc w moździerzu. Gotową mieszankę zamknąć szczelnie w słoiku. Dobrze jest taką przyprawę przesypać przez sitko.



mięci mięci!

7

Rozwiąż krzyżówkę.
Rozwiązanie utworzą litery z niebieskich pól.

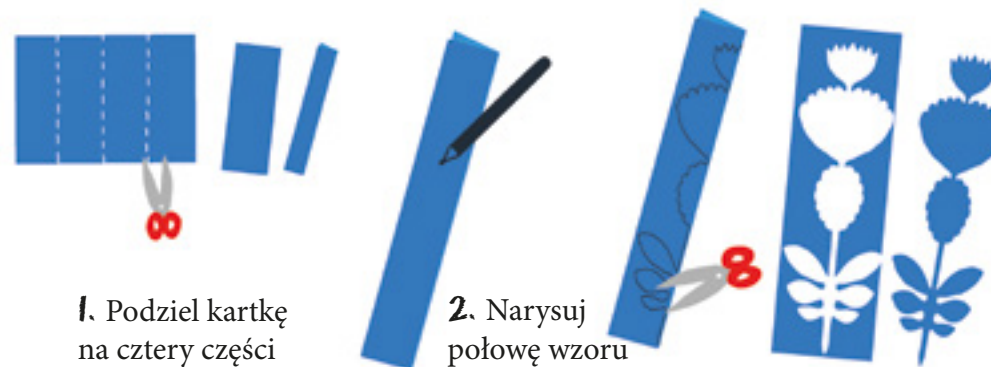


8

Stwórz własną zakładkę do książki z wzorem łowickim.

Potrzebne będą:

- papier kolorowy A4
- ołówek
- małe nożyczki
- klej
- papier szary A4



1. Podziel kartkę na cztery części i odetnij jedną część. Następnie złoż ją wzdłuż dłuższego boku.

2. Narysuj połowę wzoru łowickiego według wykrojnika zamieszczonego obok.

3. Wytnij wzór i rozłóż kartkę.

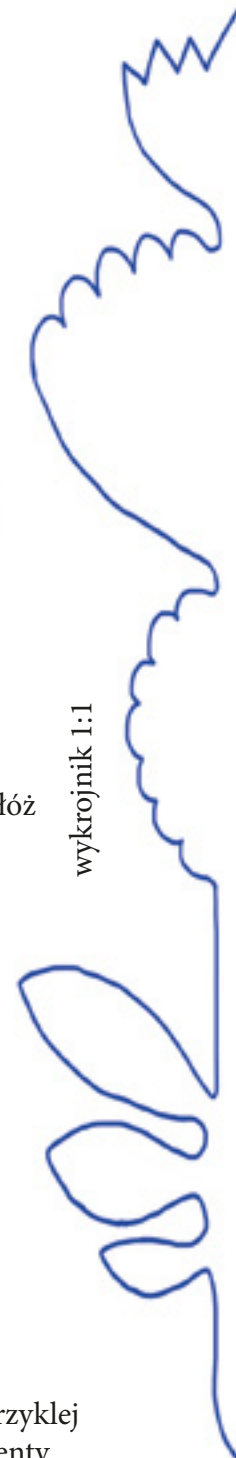


4. Przyklej wzór na szarym papierze.

5. Wytnij pozostałe wzory z kolorowego papieru.

6. Przyklej elementy i gotowe!

wykrojnik 1:1



9

Zrób swoją ramkę ze spaghetti do obrazu *Dama z Panemkotem*.

Potrzebne będą:

- makaron spaghetti
- karton A5
- klej
- nożyczki
- kartka A6, kredki



1. Narysuj swoją damę z kotem.

2. Przyklej na kartonie A5.

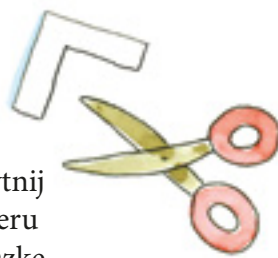
3. Narysuj linie pomocnicze.

4. Przyklejaj makaron do ramki, zaczynając od środka.



5. Wytnij z papieru zawieszkę.

6. Przyklej zawieszkę z tyłu ramki i gotowe!





Informacje o Programie Operacyjnym Infrastruktura i Środowisko

Program Operacyjny Infrastruktura i Środowisko (POIiŚ) 2014–2020 to największy program Unii Europejskiej. W jego ramach można m.in. realizować projekty związane z ochroną środowiska oraz ochroną zdrowia i dziedzictwa kulturowego.

Projekty z zakresu kultury realizowane są w ramach VIII osi priorytetowej „Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury”. Osią tą zajmuje się Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W ramach VIII osi priorytetowej POIiŚ dofinansowanie otrzymały 144 projekty. Koszt całkowity podpisanych umów o dofinansowanie to ponad 2,9 mld zł, w tym blisko 2 mld zł pochodzi z Unii Europejskiej. W VIII osi priorytetowej główny nacisk położono na projekty dotyczące ochrony zabytków, poprawy warunków, w jakich przechowywane oraz prezentowane są zbiory, a także unowocześnienie oferty instytucji kultury.

Instytucje, które otrzymały dofinansowanie, to m.in.:

- Muzeum – Zamek w Łańcucie
- Zamek Królewski na Wawelu – Państwowe Zbiory Sztuki
- Klasztor Ojców Paulinów na Jasnej Górze
- Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie
- Muzeum Narodowe w Szczecinie
- Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Mielcu
- EC1 Łódź – Miasto Kultury w Łodzi



SPIIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

Zaczynają się wakacje. Ale nie takie, jak sobie zaplanowaliśmy **7**

ROZDZIAŁ 2

Pojawia się Tyla i Gadatka **13**

ROZDZIAŁ 3

Pojawia się pierścionek i to nie byle jaki **32**

ROZDZIAŁ 4

Są kwiatki, maselnica i świeże powietrze **45**

ROZDZIAŁ 5

Są schody i wielkie koło **55**

ROZDZIAŁ 6

Spotykamy srebrnoskrzydłego anioła i przeszkodniki **64**

ROZDZIAŁ 7

**Bransoletki i dama ze zwierzątkiem,
choć nie kotem 77**

ROZDZIAŁ 8

Łódka, kolejka i lizanie ściany 87

ROZDZIAŁ 9

Kamienie zwykłe i niezwykłe 93

ROZDZIAŁ 10

Zakalec, pierniki i mały Mikołaj 100

ROZDZIAŁ 11

Magia na całego 110



Zakończenie 118

Zadania 120

Informacje o POLiŚ 134

MINIGRA

Jeśli staniesz na numerowanych polach, odpowiedz na pytania.

- Dla 2-4 graczy
- Potrzebna kostka do gry oraz pionki

- Otrębusy**
Siedziba jakiego zespołu tam się znajduje?
 - Zalipie**
Co to jest skansen?
 - Pelplin**
Co znajduje się na strychu w Bazylice?
 - Świdnica**
Co to jest renowacja?
 - Kraków**
Jakie zwierzę trzyma dama na obrazie?
 - Bochnia**
Kim była św. Jadwiga?
 - Krzemionki k. Ostrowca Świętokrzyskiego**
Co wydobywa się w tamtejszej kopalni?
 - Toruń**
Kim był Mikołaj Kopernik?
 - Warszawa**
Górne lub Dolne, przynależą do Zamku Królewskiego.
-  Wykonaj polecenie Gadalki.
-  Pierścień przenosi cię w miejsce wskazane strzałką.
-  Głaszczesz kota, czekasz 1 kolejkę.

Start

Mam świetny humor. Rzuć kostką jeszcze raz!

Jestem obrażona, jak tu staniesz, to zaczekasz kolejkę.

9

8

7

6

5

4

3

2

1

Meta

miau!

Objadłam się piernikami. Muszę odpocząć, czekasz jedną kolejkę.

Blau!

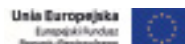
Dla Szczepka i Róży przymusowe wakacje u ekscentrycznej ciotki Lusi, gdzieś pośród rzepakowych pól i kwiecistych łąk, wydawały się najgorszą karą, jaką mogli im zafundować zapracowani rodzice. Początkowo niechętni i głęboko rozczarowani niesprawiedliwością losu powoli i ze zdumieniem dają się porwać iskrzącej magią przygodzie. Wraz z obwieszoną bransoletkami kuzynką Tylą, czarodziejskim kocurem, zakręconą ciotką i jej niezwykłym pierścieniem oraz przemądrzałą Gadatką wyruszą w wyjątkową podróż po Polsce śladami projektów sfinansowanych ze środków Unii Europejskiej.



Dołącz do tej kolorowej paczki przyjaciół i zatańcz wraz z nimi oberka, zjedz toruńskiego piernika oraz poszybuj wysoko nad ogrodami Zamku Królewskiego w Warszawie. Mało? Na deser poćwiczysz szare komórki i – zgodnie z instrukcją Róży i Szczepka – wykonasz wyjątkowe przedmioty.



ISBN: 978-83-62622-66-5



Bezpłatna publikacja współfinansowana ze środków Funduszu Spójności oraz budżetu państwa w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014–2020